Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 9 | Niedziela, dnia 26 lutego 1928 roku | Rok IV-ty

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.
Konto w P. K. O. № 63.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

Sprawy tygodnia

OSTATNI TYDZIEŃ.

JUŻ TYLKO TYDZIEŃ dzieli nas od dnia wyborów. W najbliższą niedzielę trzeba będzie zdecydować się, na jaką listę oddać swój głos. Dla niejednego nie będzie to łatwem, jeśli zechce głosować zgodnie ze swem sumieniem, zgodnie ze swymi poglądami, zapatrywaniami i wierzeniami. Już dzisiaj słyszy się od wielu myślących ludzi opinję, że najlepiej będzie wstrzymać się od głosowania.

Zrozumiałe są takie rozterki. Nie mało przyczyniła się do nich agitacja przedwyborcza, nie mniej jednak w obecnych warunkach wstrzymanie się od głosowania byłoby najgorszem, co można wybrać.

O co bowiem chodzi w tych wyborach? O to, aby sejm wybrany został w takim składzie, **przy którym naprawa konstytucji, a tem samem i ustroju Rzeczypospolitej byłaby możliwa bez tarć i niespodzianek.** Na to chyba wszyscy się godzą. Niejednakowe są tylko poglądy na to, w jaki sposób ta naprawa konstytucji i ustroju ma być dokonana. A zwłaszcza rządowemu blokowi zarzuca się zewsząd, że co do tej pierwszorzędnej i naczelnej sprawy nie ogłosił wyraźnego programu. To prawda — blok rządowy istotnie w deklaracji swojej nie naszkicował szczegółowego projektu tego przyszłego ustroju, do jakiego dąży. Ale czy uczyniły to stronnictwa? Także nie. Kilka haseł ustrojowych rzuca P. P. S., lecz są to wszystko hasła, wydobyte z archiwum, do którego zostały złożone zaraz po upadku pierwszego gabinetu socjalistycznego i po likwidacji rządu lubelskiego. Wydobywa się je stamtąd tylko do użytku w czasie przedwyborczym. Pozatem P. P. S. operuje tylko hasłem demokracji, którą wyobraża sobie kubek w kubek tak samo, jak wyglądały stosunki przed majem 1926 roku. A taka demokracja niema w sobie chyba nic pociągającego nawet dla najszczerszego zwolennika ideologji demokratycznej.

A inne stronnictwa? Jakżesz ubogo wygląda ich program ustrojowy! Na serjo przecież niepodobna brać tych kilka **komunałów,** które znajdujemy w programach przedwyborczych. Widocznie sami autorowie nie biorą tego na serjo, sprowadzając walkę przedwyborczą na dziedziniec kościelny i operując wyłącznie hasłami katolickiemi, dającemi się wprawdzie zastosować do pewnych szczegółów ustrojowych, ale nie do całokształtu ustroju Rzeczypospolitej, bo chyba nie mają na myśli wprowadzenia w Polsce teokracji.

* * *

ZAGADNIENIE REFORMY USTROJU parlamentarnego, to rzecz wielka i dotychczas nigdzie nierozwiązana. Jeden tylko szczegół wyłania się z całokształtu tego zagadnienia bardzo wyraziście: **konieczność bardzo poważnego wzmocnienia naczelnej władzy wykonawczej w państwie,** a więc konieczność wzmocnienia władzy głowy państwa kosztem dotychczasowych uprawnień władzy ustawodawczej. W tym kierunku jesteśmy świadkami eksperymentów, czynionych we Włoszech przez Mussoliniego, w Hiszpanji przez Primo de Riverę, na Litwie kowieńskiej przez Waldemarasa, na Węgrzech przez Horthy'ego. Zobaczymy, jak daleko posunięte zostały te eksperymenty.

Poza Włochami sprawa stoi wszędzie na martwym punkcie. W ten czy inny sposób obecni dyktatorzy doszli tam do władzy i podług swego uznania zakreślili granice swoich kompetencji, nie obalając formalnie starego ustroju parlamentarnego. Panuje więc wszędzie stan wyjątkowy i przejściowy, ściśle związany z osobami dyktatorów, a poza tem coraz bardziej utrwala się w społeczeństwach przekonanie, że powrót do dawnego stanu rzeczy jest niemożliwy, nigdzie jednak niema skrystalizowanych poglądów, jak ma wyglądać ten nowy ustrój, którego konieczność wszyscy rozumieją, a któryby postulat wzmocnienia władzy głowy państwa trwale rozwiązywał.

Jeden Mussolini posunął się już dość daleko w dziele budowy takiego nowego ustroju obierając strukturę syndykalistyczną i stwarzając ponad parlamentem, obranym przez syndykaty zawodowe, a zatwierdzonym en bloc przez społeczeństwo w powszechnem głosowaniu, instytucję „Wielkiej Rady Faszystowskiej", której rola nie jest jednak zupełnie jasna i ze względu na jednostronność ideową swego składu musi budzić poważne wątpliwości.

Pewne próby w kierunku reformy przedstawicielstwa narodowego i jego praw poczynił także Primo de Rivera, ale pomyślane są one raczej jako eksperyment. Poza tem są tylko teorje i koncepcje i to tak liczne, że wybór jest niemożliwy i **byłoby conajmniej lekkomyślnością** dawać jednej z nich pierwszeństwo i przyjąć ją za program naprawy ustroju, mający być zrealizowany.

* * *

HASŁA USTROJOWE przeciwników bloku rządowego wyprowadzane są z założenia, że należy system parlamentarny utrzymać, że należy nawet utrzymać powszechne głosowanie, a ograniczyć się do naprawy parlamentu samego, mając przytem na oku zwiększenie władzy głowy państwa. Inaczej mówiąc chcianoby utrzymać nienaruszone zasady fundamentalne ustroju parlamentarnego, a naprawę ograniczyć tylko do szczegółów. Koncepcje takiej naprawy ustroju nie wytrzymują żadnej krytyki. Odnosi się wrażenie, że autorowie ich tak panicznie boją się zarzutu „wrogów demokracji", iż — aby go uniknąć — chętnie rezygnują z logicznego myślenia. Zresztą koncepcje te, nawet pochodzące od przedstawicieli nauki, **grzeszą brakiem wszechstronności** i bojaźliwem unikaniem wyciągania w nich ostatnich wniosków. To też nadają się conajwyżej na użytek demagogji przedwyborczej i **tylko na afiszach wyborczych udawać mogą programy.**

* * *

DLA WYBORCY sytuacja przedstawia zatem obraz następujący: w odniesieniu do zagadnienia ustrojowego, które dla obywatela myślącego jest zagadnieniem centralnem w tej walce, która się obecnie toczy i która się za tydzień rozstrzygnie w kampanji głosowania.

Ścierają się trzy prądy i każdy z nich ubiega się o mandaty sejmowe. Pierwszy reprezentuje **obóz socjalistyczny,** zajmujący stanowisko, że obecny nasz ustrój parlamentarno-demokratyczny żadnych istotnych reform nie potrzebuje, że nawet zmiany, wprowadzone do konstytucji w roku 1926 idą zbyt daleko, bo jeżeli już w konstytucji coś zmieniać, to tylko w kierunku jeszcze większego zabezpieczenia praw sejmu i jego wpływów na politykę państwową.

Drugi prąd reprezentują t. zw. **stronnictwa narodowe i umiarkowane,** będące w opozycji do Rządu Marszałka Piłsudskiego. Obóz ten z małemi odchyleniami zajmuje stanowisko, że reforma ustroju powinna być przedewszystkiem reformą parlamentu, że więc ustrój parlamentarny należy utrzymać, zmieniając jedynie sposób wybierania posłów. Natomiast obóz ten wysuwa postulat gruntownej reformy izby wyższej, t. j. senatu. Tutaj wysuwana jest przedewszystkiem koncepcja równouprawnienia senatu z sejmem i koncepcja zastąpienia przynajmniej częściowo wyborów do senatu nominacjami przez rząd i delegacjami ze strony zrzeszeń, organizacyj i instytucyj.

Trzeci obóz, to **blok rządowy,** który jako całość nie wysuwa żadnego postulatu ustrojowego, ograniczając się jedynie do stwierdzenia, że reforma ustroju jest konieczna i że przeprowadzić może ją tylko Marszałek Piłsudski.

W bloku rządowym reprezentowane są także oba powyżej scharakteryzowane programy ustrojowe. Jest więc w tym bloku grupa radykalna, nieposiadająca własnej koncepcji ustrojowej, która dotychczas podzielała w tej dziedzinie poglądy obozu socjalistycznego. Ale grupa ta rekrutuje się głównie z uczestników walk niepodległościowych i w Marszałku Piłsudskim widzi bohaterskiego swego wodza z tych walk, wobec którego zobowiązana jest do ślepego posłuszeństwa. Widzi w nim budowniczego Niepodległej Rzeczypospolitej i jemu tylko przyznaje prawo nadania Polsce ustroju. Przyjmie też z jego rąk każdy ustrój i gdy Marszałek Piłsudski w tej sprawie wypowie swoją opinję w stosunku do siebie uzna wszelką dyskusję w tej sprawie za zakończoną.

Są następnie w tym bloku elementy również radykalne, ale o odcieniu mieszczańsko-liberalnym, elementy centrowe, których zapatrywania silniej się już odróżniają od poglądów socjalistycznych. Elementy te są za najdalej idącym liberalizmem ustrojowym, a więc w zasadzie za powszechnem prawem wyborczem i za ustrojem parlamentarno-demokratycznym, pragną jednak ustrój ten zabezpieczyć zarówno przed przerostem tendencyj socjalistycznych jak i reakcyjnych. Grupy te będą w ewentualnej dyskusji ustrojowej broniły szeregu swoich postulatów z dziedziny zagadnień oświatowych, kulturalnych i społecznych. Rękojmię bezpieczeństwa przed tendencjami wywrotowemi z prawej czy lewej strony elementy te widzą w silnej władzy wykonawczej.

Dalszą grupę w bloku rządowym stanowią żywioły, podzielające prawie całkowicie ustrojowe postulaty stronnictw umiarkowanych, zwłaszcza w odniesieniu do prawa wyborczego i ustroju senatu. Grupa ta, do której należy część sfer ziemiańskich, przemysłowych i inteligencji widzi jednak w Marszałku Piłsudskim jedynego człowieka, któryby mógłby te postulaty zrealizować i dlatego nie bierze udziału w opozycji, lecz przeciwnie manifestuje swoje sympatje dla Rządu Marszałka.

Prócz tego reprezentowane są w bloku rządowym jeszcze takie grupy, jak np. monarchiści i konserwatyści, które domagają się prawie nieograniczonej władzy dla głowy państwa, a ciałom ustawodawczym pragnęłyby nadać charakter ciał doradczych przy boku głowy państwa. Grupy te widzą wyraźnie bankructwo parlamentaryzmu i pragnęłyby na jego miejsce wprowadzić coś w rodzaju demokratycznego absolutyzmu. Z tej strony wysuwana jest np. formuła ustroju prezydjalnego.

Poza temi trzema grupami jest jeszcze obóz mniejszości narodowych, którego poglądy ustrojowe nas nie mogą interesować, gdyż obóz ten stoi na gruncie separatyzmu i zainteresowany jest jedynie w przywilejach dla reprezentowanych przez siebie mniejszości, do których gotów jest dążyć nawet po gruzach państwowości polskiej.

* * *

MYŚLĄCY OBYWATEL decyzji swojej, na jaką listę ma oddać głos, nie może uzależniać od niczego innego, jak **tylko od swego stosunku do zagadnienia ustrojowego.** Wszystkie inne hasła, a więc także hasła religijne, wprowadzone zostały do agitacji wyborczej tylko dlatego, aby odwrócić uwagę mas od sprawy zasadniczej, t. j. od zagadnienia ustrojowego.

Trzeba się przeto zdecydować na jeden z trzech zasadniczych kierunków ustrojowych: socjalistyczny, narodowy, wzgl. opozycyjny i ogólny kierunek bloku rządowego, który scharakteryzować można jako **dążenie do naprawy ustroju i stanowcza wola uskutecznienia tej naprawy zgodnie z interesami** i potrzebami Rzeczypospolitej.

Blok rządowy bowiem nie przesądza z góry formy ustroju. Grupuje w sobie wszelkie możliwe kierunki i tendencje, ale **nikt tam swej recepty nie uważa za jedynie skuteczną** i każdy składa inicjatywę ustrojową w ręce Marszałka Piłsudskiego, zastrzegając sobie jednak prawo obrony swoich postulatów i poglądów. Jest to jedynie słuszne stanowisko, bo jeśli nikt inny w Polsce oprócz Marszałka Piłsudskiego nie potrafi przeprowadzić naprawy ustroju, to należy przedewszystkiem zaczekać na to, co on powie. Przeciwstawianie mu zgóry pewnych koncepcyj, gdy się niema siły na ich przeprowadzenie, jest szkodliwą zabawą.

Dotychczasowa taktyka Marszałka Piłsudskiego usprawiedliwia najzupełniej zaufanie do jego osoby, że zagadnienie ustroju traktuje bardzo poważnie i bez cienia tej megalomanji, z jaką traktuje tę sprawę np. Mussolini lub Primo de Rivera, którzy, pragnąc zdobyć sławę wynalazców, ustroje swoim państwom po dyktatorsku narzucają. Marszałek Piłsudski zapewne nie wystąpi z własną inicjatywą ustrojową dopóki nie zbada, czy **w drodze współpracy z sejmem** nie wyłoni się jakaś koncepcja, którąby z jednej strony stwarzała silny fundament dla rozwoju potęgi państwa polskiego. Niewątpliwie też nie zechce Marszałek Piłsudski **przedwcześnie** przystępować do rozstrzygania tego najważniejszego zagadnienia i wdawać się w eksperymenty, lecz przypuszczalnie, zatrzymując nadal władzę w swoich rękach, obserwować będzie **rozwój wypadków po wyborach w takich państwach, jak Niemcy i Francja.** Państwa te po wyborach będą niewątpliwie widownią wstrząśnień ustrojowych i prób opanowania ich. Próby te mogą zaś dostarczyć nam wiele niezmiernie cennych wskazówek, które mogą łatwo obalić i nieaktualnemi uczynić niejedną z dzisiejszych koncepcyj.

Niema w Europie państwa, w którem nie szukanoby nowych formuł ustrojowych i niema też człowieka, któryby mógł z poczuciem odpowiedzialności przystąpić do realizowania jakiejś formuły, wyjąwszy oczywiście Mussoliniego, u którego ambicje wynalazcy grają niepoślednią rolę. Jeżeli więc ktoś naprawdę odczuwa konieczność reformy ustroju Rzeczypospolitej, dla tego milczenie Marszałka Piłsudskiego może być tylko dowodem, że zagadnienie to traktuje on rzeczywiście poważnie i z całem poczuciem odpowiedzialności, czego ne można powiedzieć o tych, którzy hasła ustrojowe, tu i tam połapane puszczają na użytek agitacji przedwyborczej.

Ponieważ zaś Marszałek Piłsudski wyraźnie oświadczył, że z ludźmi, których nazwiska figurują na liście Nr. 1, ma zamiar współpracować na terenie sejmu nad zagadnieniem ustroju Rzeczypospolitej, dlatego jesteśmy zdania, że nikomu, kto doniosłość zagadnienia ustrojowego pojmuje, **nie wolno uchylić się od głosowania na tę listę.**

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE — POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

* * *

MARSZAŁEK PIŁSUDSKI — bo tylko on, a nie rząd in corpore, wchodzi w rachubę — swego programu naprawy ustroju nie ogłosił. Uczynił natomiast daleko więcej: **stwierdził, że naprawa ustroju jest konieczną i że stawia ją sobie za zadanie.** Dowodem zaś na to, że rzeczywiście uznaje naprawę ustroju Rzeczypospolitej za konieczność i że nie myśli uchylać się od tego trudnego zadania, że przeciwnie, przyjął je na siebie jako zadanie swego życia, są liczne kroki uczynione już przez niego w tym kierunku, a między nimi dokonane już zmiany w konstytucji, które traktować należy **jako kroki przygotowawcze,** mające rządowi w razie potrzeby umożliwić wolność ruchów.

A gdy z drugiej strony widzimy, że **oprócz niego niema dzisiaj w Polsce człowieka, któryby mógłby podjąć się tego zadania** — a co do tego niema nawet wśród opozycji żadnych wątpliwości — deklaracja taka posiada stokroć większą wartość, niż obietnice i programy innych, którzy z nieudolności swojej, gdy chodzi o czyny, nieraz już w naszych oczach zdawali egzamin.

* * *

PASZPORTY ZAGRANICZNE.

W dziedzinie tego zagadnienia dowiadujemy się o nowym i dotąd niepraktykowanym sposobie represji.

Pewnemu obywatelowi, posiadającemu paszport ulgowy na wielokrotne przekroczenie granicy, w jednym z konsulatów zagranicznych odmówiono wydania wizy, wyjaśniając mu, że musi albo przedłożyć paszport za 500 złotych, albo udowodnić gospodarczą konieczność wyjazdu.

Co to jest? Nasuwa się przecie pytanie, kto wydał podobne polecenie: czy poselstwo państwa, które tym sposobem ingeruje do spraw o charakterze czysto - wewnętrznym, czy też Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które nie ma kompetencji krępowania w tej mierze ruchów obcych placówek konsularnych?

W każdym razie to współdziałanie czynników obcych w manjackiej naszej prohibicji podróżniczej jest faktem nad wszelki wyraz znamiennym, a nawet wielce niepokojącym, bo w analogji z tem można obawiać się tego, że maluczko, a konsulaty państw obcych będą wymagały dowodu opłaconych podatków.

Wydaje nam się, że sprawa ta wymaga wyjaśnienia ze strony miarodajnej.

* * *

DLA DOBRA PAŃSTWA TAK TRZEBA.

NACZELNY PUBLICYSTA „Kurjera Warszawskiego" znowu poświęcił uwagę naszemu pismu, ustosunkowując się polemicznie do naszego stanowiska w sprawie wyborczej.

Zanim przejdziemy do momentów polemicznych, zatrzymać się musimy na zarzucie rzekomo popełnionego przez nas nietaktu w postaci napaści na Episkopat polski. Zaprzeczyć musimy stanowczo, jakobyśmy kiedykolwiek — bo już w grudniu odezwą Biskupów się zajmowaliśmy — Episkopat napastowali. Mimo krytycznego ujmowania odezwy nigdy nie uchybiliśmy powadze, z jaką gremium dostojników Kościoła traktowane być powinno, nie może więc być mowy o napaści, a tem mniej o nietakcie — chyba że jest nim sam fakt krytyki. Tego poglądu jednak podzielićbyśmy nie mogli.

Pozostałe wywody p. B. K. mają słabą stronę, właściwą wszelkiej polemice, opartej na wyjątkach, zamiast na całości. W przeciwnym bowiem razie nie mógłby zarzucać nam p. B. K., że ze sceptycyzmu w stosunku do ciał ustawodawczych nie wyciągamy konsekwencyj w dziedzinie naprawy ustroju państwowego. Zajmowaliśmy się tem zagadnieniem tak często i wszechstronnie, że domyślać się musimy, iż p. B. K., albo nie czytywał dawniej naszego organu, albo też w wielkiej powodzi swej stałej lektury o tem zapomniał. Konieczność naprawy ustroju była zawsze naszem caeterum censeo, które poza licznymi artykułami własnymi znalazło wymowny wyraz w przedrukowaniu in extenso odezwy sfer gospodarczych i w naszym do niej stosunku. Uważamy się więc za wolnych od obowiązku ciągłego powtarzania rzeczy, które będąc dogmatami dla nas, stać się już były powinny pewnikami dla wszystkich czytelników „Prawdy".

W dalszym ciągu autora artykułu interesują te same wątpliwości, które jednocześnie z nim omawialiśmy na łamach ostatniego numeru naszego organu.

I my nie zamykamy przecie oczu na to tak niezwykłe, zwłaszcza w naszych warunkach, skupienie się pod jednym sztandarem rzeczników djametralnie przeciwnych, a nawet wzajemnie wyłączających się haseł. Niewątpliwie pod tym względem swoisty zupełnie układ warunków wytworzył w tej dziedzinie i niezawodnie wytwarzać będzie w dalszym ciągu trudności może nie tak wielkie jak raczej nader przykre. Czy jednak napotkanie trudności usprawiedliwiłoby ucieczkę z pod sztandaru? Żadna ze stron z całą pewnością nie zdradzi swoich elementarnych wierzeń i gotowa jest i będzie walczyć o nie. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że skoro te przeciwne hasła istnieją i walka tak czy owak stoczona być musi, to w każdym razie może ona dla pokoju wewnętrznego okazać się znacznie mniej szkodliwą, jeżeli będzie stoczona przez ludzi, jednakowoż związanych jedną wspólną troską o nienaruszalność i dobro naczelnej idei państwowości, aniżeli gdyby, toczona przez zwalczające się obozy, tę ideę w ogniu boju by stratowała. Przecież tak już bywało. Przecież porachunki partyjne rozgrywały się stale na pognębionych plecach państwowości. Zaufanie do rządu, jako piastuna i obrońcy tej naczelnej idei, każe podjąć tę nową próbę znalezienia drogi do powodzenia państwa, mimo trudności i dziwactw nawet, jakie nastręcza, i wbrew nim.

Czy spotka nas zawód — to przyszłość pokaże. Tymczasem powiedzieć sobie możemy na pociechę, że w znoszeniu zawodów jesteśmy zahartowani i że w żadnym razie nie będziemy mieli powodu wstydzić się go, skoro powodować się dajemy nie zaślepieniu, ani prywacie, lecz dobrej wierze i woli.

* * *

SPRAWA LITEWSKA.

P. WOLDEMARAS dość długo namyśla się nad odpowiedzią na notę polską, zawierającą kategoryczne pytanie, czy jest skłonny nawiązać z Polską rokowania w celu przywrócenia między oboma krajami normalnych sąsiedzkich stosunków, czy też w dalszym ciągu zamierza, interpretując na swój sposób rezolucję Rady Ligi, szukać pozorów celem odwlekania tej sprawy w nieskończoność. To zwlekanie z odpowiedzią jest już samo w sobie odpowiedzią. Oznacza bowiem, że pan Woldemaras zdecydowany jest moment nawiązania rokowań odwlec jeszcze na jakiś czas. Odpowiedź jego będzie tylko mniej lub więcej zręcznem upozorowaniem tego zamiaru.

Ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa rząd polski w dalszą korespondencję wdawać się nie będzie, sprawa siłą rzeczy będzie musiała wrócić ponownie do Ligi Narodów. Tym razem należałoby przedtem zaznajomić dokładnie nietylko opinję europejską, ale także i opinję polską z całokształtem sprawy litewskiej, której niektóre fazy zacierają się już w zbyt dalekiej perspektywie. Sądzimy, że najwłaściwszem i najbardziej celowem byłoby opublikowanie przez rząd polski dokumentów, odnoszących się do sprawy litewskiej. Księga taka byłaby najlepszem poparciem stanowiska, jakie może przyjdzie nam zająć w stosunku do Litwy na terenie międzynarodowym już w niedalekiej przyszłości.

Opublikowanie dokumentów, przedstawiających całokształt sprawy polsko - litewskich stosunków jest jeszcze i z tego względu pożądane, że p. Woldemaras spekuluje na słabem uświadomieniu szerokiej opinji publicznej w Europie co do tego zagadnienia. Atut ten powinien być jaknajprędzej unieszkodliwiony, tembardziej, że mógłby mu być pomocny, zwłaszcza gdyby usiłował zyskać dla siebie gdziekolwiek mniej lub więcej ciche poparcie.

W sprawie litewskiej nie mamy powodu niczego ukrywać, a zwłaszcza mamy wszelkie prawo zupełnie jasno stawiać kwestję Wileńszczyzny, i odsłonić wężowisko intryg dookoła tej sprawy. Od rezolucji genewskiej do dnia dzisiejszego zaszły już duże zmiany, które niewątpliwie p. Woldemaras zechce wykorzystać dla swoich planów przewlekania niebezpiecznej dla pokoju europejskiego sytuacji. Najważniejszemi z tych wydarzeń są: umowa niemiecko - litewska i przygotowania do zawarcia traktatu handlowego oraz wypadki wewnętrzno - polityczne w Niemczech, dzięki którym stanowisko przedstawiciela Niemiec na najbliższej sesji Rady Ligi może być w sprawie litewskiej bardzo niewyraźne.

Dziwne skojarzenia

W jednym z ostatnich numerów (z soboty, 11,2.28) „Kurjera Warszawskiego" ukazała się bardzo znamienna enuncjacja jednego z koryfeuszów literacko - publicystycznych obozu „jedynych obrońców polskości i kościoła". Autor biada nad uciskiem tego obozu przez rząd i wróży rychły upadek Polski, skoro zabraknie ręki, taki docisk sprawiającej. Asumpt do tych biadań i wróżb wziął z okoliczności napozór mało z teraźniejszym rządem związanej, bo z wystawienia sztuki Kiedrzyńskiego p. t. „Romans florencki".

Gdzie Rzym, gdzie Krym — zapytać może czytelnik? Jaki związek ma poczucie ucisku w redakcji „Kurjera Warszawskiego" z piękną stolicą Toskanji?

Związek może zawsze znaleźć publicysta, który chce dowieść czynem, że prasa polska znalazła się obecnie w warunkach takich, jakie przeżywała pod cenzurą rosyjską. Jest coprawda nie mała doza hypokryzji w tem robieniu ofiary, że oto taka dzieje się krzywda publicystom obozu katolicko-narodowego, że muszą pisać między wierszami, ale można do pewnego stopnia zrozumieć te historjoficzne roztrząsania florenckie autora, skoro się uwzględni, jak bardzo nie tęgo przedstawiają się sprawy wyborów w obozie jego.

Warto jednak w istocie posłuchać, co pisze recenzent teatralny „Kurjera Warsz.", w charakterze historjozofa włoskiego średniowiecza.

Przyznaje otwarcie, że w sztuce Kiedrzyńskiego niema nic prócz romansu i życia włoskiego tej epoki ale sam puszcza się na głębokie wody historjozofji niewątpliwie pod wpływem zranionych uczuć jednego z filarów obozu, który przechodzi do historji.

Mówi o Florencji, a ma na myśli Polskę, mówi o Wawrzyńcu Wspaniałym, a ma na myśli zupełnie kogo innego. Zdemaskowane myśli autora, ukryte między wierszami tej dziwacznej recenzji tak brzmią mniej więcej:

Polityka rządów Wawrzyńca polegała na stopniowem, ale konsekwentnem łamaniu urządzeń republikańskich. Zamiast poprawiać ustrój republikański Florencji, łamie go, wprowadzając do pozorów republikańskich istotę dyktatury. Za rządów jego prawo zeszło do znaczenia abstrakcji, a osoba, oczywiście jego osoba, stała się ustrojem. Był on niewątpliwie bożyszczem ludu. Gdzież szukać źródeł tej solidarności ludu florenckiego z Wodzem, tego oddania się mas imieniowi i osobie? I to w narodzie, który przez kilka stuleci poprzednich przelewał krew za swobody swoje? — w ludzie, który we krwi miał dogmat republikanizmu? Odpowiedź na to łatwa: Wawrzyniec odbiera narodowi prawa, a daje dobrobyt. Z niezmierną umiejętnością wyzyskuje konjunkturę względnego pokoju, w jakim spływają jego rządy, podnosi handel, przypomina ludowi, że poprzednio działo się gorzej pod względem gospodarczym, prześladuje swoich przeciwników politycznych, ale pozwala obrastać w pierze tym wszystkim, którzy wyrzekali się aspiracji politycznych, którzy myśleli tylko o groszu, stroniąc od skupiania się w związki i stronnictwa. Florencja pod jego rządami rozszumiała się złotem, zapadła w użycie, czuje się szczęśliwa w swoim bezwyrazie ideowym. Rządy Wawrzyńca pokazały światu, jak konjunkturą ekonomiczną można skorumpować ideologję, wolność, prawo.

Takie są niewesołe myśli jednego z menerów duchowych wysadzonego z siodła stronnictwa.

Zdaje się jednak, że maskę historjozofa Florencji przybrał nie z obawy konfiskaty cennych rozmyślań, lecz dla tego, iż w innej formie trudno, by mu było przyznać jak wiele ów znienawidzony wódz i mąż stanu, którego zwalcza w osobie Wawrzyńca dla ojczyzny uczynił.

Biedni są ci politycy „jedynie narodowi" i „jedynie katoliccy"! W zapale polemiki gotowi są triumfatorowi, który ich zdeptał, nałożyć na czoło laur Wawrzyńca Wspaniałego, w zapamiętaniu nienawiści skłonni są przyznać, że ten triumfator jest uosobieniem powodzenia, że uczynił Polskę szczęśliwą, dał jej dobrobyt, podniósł handel i zapewnił pokój — byle móc rzucić oskarżenie, że tym dobrobytem szerzy korupcję!

Po godzinie żalu następuje godzina przestrogi. Co będzie z Polską, kiedy ów mąż wielki — oczywiście znów autor myśli o Polsce, a mówi o Florencji. — oczy zamknie?

Ustrój, nadawany Florencji przez Wawrzyńca Wspaniałego, cały oparty był na zasadzie osoby; wraz ze zgonem twórcy tego ustroju, znikła i osoba, która ustrój wypełniała swą niezwykłością.

Polityka rządów Wawrzyńca zmierzała do tego, by masa przestała się czuć narodem. Każda rzeczowa opozycja była zbrodnią stanu. Żadnej krytyki, żadnej swobody sądu, żadnej opinji, żadnej organizacji — poza władzą.

Rozbicie na jednostki, forytowanie neutralności politycznej, kult osoby.

Autor tego dziwnego artykułu, pełnego nieoczekiwanych asocjacyj, stwierdza w końcowych wierszach, że człowiek, tak postępujący z narodem, zostawia społeczeństwo po sobie znikczemniałe, tchórzliwe i bierne. Społeczeństwo to pod jego rządami przestaje być narodem, a narodem staje się On.

Gdy go zabraknie, naród wobec wroga staje bezradny i pełen trwogi. Mąż wspaniały skazuje zbiorowisko, którem rządzi, na klęski przyszłe i nieszczęścia, bo mu nie daje być narodem.

Zaiste straszną byłaby przyszłość narodu, gdyby recenzent teatralny najpoczytniejszego pisma w Polsce miał słuszność.

W istocie ma słuszność tylko co do własnego obozu. Kto w nim zostanie, będzie miał oblicze podobne do tego, które autor chciał narzucić całemu narodowi. Naród polski nie uciekał przed Niemcami do Moskwy, ani przed Moskalami do Poznania. Rozbicie stronnictw stworzonych w niewoli i pełnych przywar niewoli nie jest jeszcze zgnieceniem parlamentaryzmu.

Społeczeństwo polskie pod rządami Wodza z roku 1920 stanie się bardziej narodem, i to narodem pełnym godności, siły i wpływu, niż pod anarchicznem kierownictwem suwerennego sejmu i warcholskich stronnictw. Z autorem zresztą trudno jest polemizować, trudno jest zwalczać jego tezy ogólne, bo je rzucił na tło rodzime i współczesne w sposób zamaskowany.

Chciałem tylko zwrócić uwagę na jakie manowce schodzi myśl stronnictwa, które w swej megalomanji przyjęło zasadę: naród to my — i w nią uwierzyło powoli.

Znamiennem w całym tym dziwnym artykule jest to, że poza żalem publicysty z Kurjera Warszawskiego za wymykającym się z rąk stronnictwa rządem dusz, przebija z biadań jego podziw nad postacią pogromcy.

Samo zestawienie z Wawrzyńcem Medyceuszem jest aktem uznania wielkości. Sama treść przestrogi, że ustrój wypełniony przez jedną osobę, której niepodobna odmówić wielkości, po jej śmierci przedłużony być nie może, i grozi narodowi wskutek tego klęską, — sama treść tej przestrogi jest hołdem, osobie triumfatora złożonym.

To daje do myślenia, zwłaszcza, że następuje nieomal w przeddzień wolnej rozprawy wyborczej.

Dr. Gustaw Doborzyński.

(Warszawa)

PRZEGLĄD POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

Od kilku dni toczy się w Genewie debata nad rozwiązaniem problemu bezpieczeństwa. Zajmuje się nim specjalny komitet przy t. zw. przygotowawczej komisji rozbrojeniowej. Debata ta dotyczy głównie podwójnego zagadnienia arbitrażu i bezpieczeństwa, jako jedynego praktycznego wyjścia z powodzi aforyzmów o rozbrojeniu. Uznano bowiem, że rozbrojenie, polegające na częściowem bodaj zredukowaniu żołnierza i floty połączone być musi z przymusowym i zorganizowanym arbitrażem.

Nie sposób ograniczać zbrojeń bez uzyskania wyraźnych i dostatecznych gwarancyj bezpieczeństwa. Zadaniem komitetu jest więc rozpatrzenie dotychczasowych gwarancyj i orzeczenie, czy są one wystarczające dla zapoczątkowania redukcji zbrojeń — w przeciwnym zas razie wynalezienie sposobu trwałego zabezpieczenia pokoju i opracowanie odpowiedniego projektu.

Praca komitetu utrudniona jest w dużym stopniu przez rozbieżność poglądów pomiędzy Anglją a Niemcami, wyrażoną w memorjałach, złożonych przez te państwa Lidze Narodów. Anglja nietylko, że zastrzega się przeciw jakimkolwiek zobowiązaniom natury ogólnej, ale sprzeciwia się nawet ustaleniu tych punktów niezbędnych, które dotyczą zobowiązania niesienia pomocy w razie zbrojnego napadu ze strony któregokolwiek z panstw. A przecież bez jasnego załatwienia tej niezmiernie ważnej sprawy trudno ruszyć z miejsca w sprawie bezpieczeństwa. To też nie wydaje się, by nota przewodniczącego komitetu p. Benesza, czy też raporty sprawozdawców pp. Politisa. Rutgers'a i Holsti — pierwszego o sprawie bezpieczeństwa, drugiego o stosowaniu art. 10, 11 i 16 paktu Ligi, trzeciego o traktatach roz jemczych — mogły posunąć sprawę naprzód.

P. Benesz jest zdania, że niektóre paragrafy paktu Ligi mogą znaleźć zastosowanie celem wykluczenia w większości wypadków niebezpieczeństwa wojny. Uważa on też, że odpowiedzialni przedstawiciele państw, będących członkami Rady Ligi, rozporządzają dostatecznymi środkami w ramach samego paktu dla utrzymania pokoju międzynarodowego. Na to można odpowiedzieć, że jeżeli rzeczywiście Rada Ligi skutecznie interwenjowała w niektórych zatargach jak np. grecko-bułgarskim lub polsko-litewskim, to nic nie upoważnia do wiary, by decyzje jej miały znaczenie gdyby chodziło o mocarstwa wielkie.

Nie można na serjo twierdzić, że pakt Ligi Narodów, jako taki, wystarcza dla zapobieżenia niebezpieczeństwu wojny, Ale gdybyśmy nawet zdobyli się na tak ślepe zaufanie do skuteczności decyzyj Rady Ligi w każdym wypadku, to zawsze jeszcze pozostaje różnica zdań pomiędzy poszczególnymi członkami Rady Ligi (art. 15), a temsamem możność wolnej ręki dla każdego z nich. Należy więc na trwalszej podstawie oprzeć gwarancje bezpieczeństwa. W chwili obecnej, gdy zawarcie jakiegoś ogólnego traktatu napotyka na nieprzezwyciężone przeszkody, jak to okazało się przy protokule genewskim z roku 1924, należałoby dążyć do zawierania jaknajwiększej ilości umów rozjemczych pomiędzy poszczególnemi państwami.

* * *

Konferencja hawańska ujawniła antagonizm, istniejący między dwoma światami amerykańskiemi: anglosaskim i łacińskim. Dwa światy przeciwstawiły się sobie w Ameryce, obce sobie do gruntu, o różnej kulturze i odmiennym sposobie życia. Ale te dwa światy zbyt wiele mają wspólnych interesów, by mogły żyć obok siebie bez jakichś uregulowanych stosunków.

Na konferencji hawańskiej starano się za wszelką cenę uniknąć oczywistych tarć i omijać kwestje drażliwe. Oportunizm — oto co dominowało na tej konferencji.

Stany Zjednoczone, zdając sobie dobrze sprawę z mało przyjaznych uczuć, jakiemi cieszą się w południowej Ameryce z powodu swej agresywnej polityki w stosunku do republik Centralnej Ameryki, zachowywały się w Hawannie bardzo grzecznie. Nie występowały też zbyt gorąco w roli pionierów idei panamerykańskiej, która — jak dotychczas — w południowej Ameryce uważana jest za płaszczyk, pod którym St. Zjednoczone pragną do Ameryki południowej przemycić swoją ekspansję gospodarczą. Rezultatów przeto konferencja ta nie dała żadnych.

* * *

Pertraktacje handlowe niemiecko-rosyjskie, które niedawno podjęte zostały w Berlinie, są wynikiem inicjatywy niemieckiej. W praktyce bowiem umowa gospodarcza pomiędzy Rosją a Niemcami z 12 października 1925 nie przyniosła Niemcom żadnych korzyści. Podczas gdy Rosja bardzo wydatnie zwiększyła swój eksport do Niemiec, wywóz niemiecki do Rosji dotkliwie się zmniejszył. „Wniesztorg" utworzył w Berlinie cały szereg spółek handlowych, czysto rosyjskich, nadając im nazwy niemieckie. Spółki te dokonywują jeszcze wprawdzie zakupów maszyn i narzędzi dla wyekwipowania przemysłu rosyjskiego, ale jednocześnie ograniczają coraz bardziej zakupy towarów gotowych. Ponieważ zaś Niemcy nie są w stanie nawiązać bezpośredniego kontaktu z klijentelą rosyjską przez wysłanie swych przedstawicieli handlowych do Rosji, przeto udział Niemiec w handlu przywozowym rosyjskim spada z roku na rok, podczas gdy udział innych państw, a przedewszystkiem Stanów Zjednoczonych wzrasta bardzo silnie. Z niewielkiego zresztą osłabienia wymiany handlowej między Anglją a Rosją, spowodowanego przez zerwanie stosunków dyplomatycznych między obu tymi państwami, skorzystały także wyłącznie prawie Stany Zjednoczone.

W niemieckich kołach politycznych tłumaczą sobie to ożywienie stosunków handlowych rosyjsko-amerykańskich względami natury politycznej. Coraz to większe zakupy Moskwy w Stanach Zjednoczonych pozostają jakoby w związku z przygotowywanem uznaniem rządu sowieckiego przez Waszyngton. Mimo Berlin uważa, że stan taki nie może się przeciągać i podjęcie nowych rokowań z Moskwą ma na celu przywrócenie równowagi w dziedzinie niemiecko-rosyjskiej wymiany handlowej przez wzmożenie eksportu niemieckiego do Rosji.

Nie wydaje się jednak, by zabiegi niemieckie uwieńczone zostały w tym wypadku większem powodzeniem. Co najwyżej sowiety wysuną żądanie nowych poważnych kredytów. W sferach przemysłowych niemieckich i w sferach finansowych liczą się z takim właśnie biegiem wypadków i zgóry przychylnie się do tego ustosunkowują.

* * *

Wiadomości, nadchodzące z Rosji, mówią o niebezpieczeństwie **nowego ciężkiego kryzysu**, w przededniu którego znajduje się rząd sowiecki. Mianowicie polityka aprowizacyjna rządu natrafiła na nieprzezwyciężoną przeszkodę w postaci biernego oporu chłopstwa w stosunku do daniny zbożowej. Handel artykułami pierwszej potrzeby jest w Rosji zmonopolizowany przez państwo, a więc także i handel zbożem. Od chłopa rząd zdobywa zboże tytułem podatków lub skupuje go przez kontrolowane przez siebie kooperatywy rolne. Chłop nauczony kilkuletniem doświadczeniem wzbrania się obecnie uiszczać daninę zbożową, skutkiem czego równocześnie unikać musi kooperatyw. A tymczasem w miastach już teraz odczuwa się brak chleba i brak ten z tygodnia na tydzień staje się dotkliwszy. Według statystycznych obliczeń rząd musi zdobyć do żniw blisko trzy miljony tonn zboża, jeśli miasta mają być dostatecznie zaopatrzone w chleb.

Sytuacja jest niezmiernie poważna i słusznie też wskazują na to niebezpieczeństwo wszyscy korespondenci pism zagranicznych, przebywający w Moskwie. Jeżeli bowiem nie uda się należycie zaaprowidować miast, nie do uniknięcia będą niepokoje i rozruchy wśród mas robotników i proletarjatu miejskiego. A rozruchy te mogą być bardzo niebezpiecznie ze względu na niewygasłe bynajmniej nastroje opozycyjne i na bardzo jeszcze świeżą pamięć wystąpień Trockiego i innych wybitnych członków opozycji. Z drugiej zaś strony także i wojna z przepastną wsią rosyjską nie przedstawia się dla rządu zachęcająco. Na wsi komunizm nie ma wyznawców. Cała wytężona i gorliwa propaganda komunistyczna na wsi rosyjskiej nie doprowadziła do niczego. Chłop dzięki rewolucji zdobył ziemię i siedział spokojnie dopóki z biegiem czasu nie utwierdził się w przekonaniu, że ziemi tej nikt mu już nie odberze. Gdy jednak tę wiarę zdobył, nie chce nic słyszeć o rewolucji i jej konsekwencjach i hasłach.

Według ostatnich wiadomości, rząd sowiecki zdecydował się rzekomo na najostrzejsze środki, aby wyegzekwować od wsi daninę zbożową. Przedsięwzięcie takie byłoby jednak zbyt ryzykowne. Po dziesięciu latach egzystencji rząd sowiecki nie jest już w stanie prowadzić wojny z 90-procentami własnych obywateli i to w dodatku silnie co do swoich praw przez niego samego uświadomionych. Raczej wybierze drogę kompromisu, po której już Lenin zaczął kroczyć i niebawem usłyszymy o nowych dekretach władzy sowieckiej, rozszerzających wolność handlu, w dziedzinie produktów rolnych. Inna droga oznaczałaby niebezpieczeństwo nowej rewolucji, tym razem chłopskiej, a więc najstraszniejszej.

h. z.

Nowe teorje ustrojowe

Hasła faszyzmu francuskiego

Pragnący zapoznać się szczegółowo z programem francuskiego faszyzmu nie może się uskarżać na żadne trudności. Valois i jego towarzysze ułatwiają znakomicie tę pracę zarówno przyszłemu historykowi ich ruchu, jak i wszystkim tym, którzy chcieliby mu się przyjrzeć dziś jeszcze, zobaczyć jego rozwój i przemiany, a nie są w możności czytania wszystkich francuskich pism codz. i „revues", w których o tych rzeczach się pisze. Oto co jakiś czas zbierane są artykuły i przemówienia samego Jerzego Valois, tyczące się jakiejś jednej kwestji, wciąż zresztą tej samej od kilku lat sprawy tworzenia nowej formy ustrojowej; taki zbiór artykułów zostaje zaopatrzony w dłuższą przedmowę, zawierającą lapidarne streszczenie względnie uzupełnienie i wyjaśnienie lub jaśniejsze sformułowanie poglądów, wyrażonych w owej serji wypowiedzeń i powstaje książka, wydana na dobrym papierze, nakładem „Księgarni Valois", jak np. *„L'etat syndical et la representation corporative"*. Kiedyindziej znów czytelnik otrzymuje do rąk zamiast zbioru artykułów jednego autora serję, przedrukowaną z pism różnych odcieni, a stanowiącą polemikę, jaka się toczyła koło jakiegoś zagadnienia, jak rzecz p. t. *„Przyszłość republiki"*, w której to dyspucie wziął i Valois udział. Przedmowa pióra *R. de la Porte Lusignac* zawiera krótki rys historyczny usiłowań na polu tworzenia nowego ustroju i nowego systemu pracy państwowej. Zamiast ideologji skrystalizowanej, podanej w formie gotowej, łatwostrawnej, z której już nic ująć ani do niej dodać nie można — mamy przed sobą proces kształtowania się programu, stopniowe jego narastanie, szlifowanie przez starcie z innemi hasłami czy żądaniami.

Wyrastanie nowych programów, czy idei jest zjawiskiem wprawdzie zwykłem, lecz lata powojenne są w te zjawiska dziwnie bogate. Świat wstrząsany jest próbami i wysiłkami, idącymi w kierunku odrzucenia wszystkich dotychczasowych form życia, obalenia dotychczasowych dogmatów, choć te formy i dogmaty są jeszcze bardzo młode .

Oglądanie takiego procesu u sąsiadów, zwłaszcza dalszych, jest szczególnie zajmujące. Można patrzeć spokojnie, bez używania różnobarwnych szkiełek, posługując się najwyżej lunetą porównawczą, jeśli wypadki są zbyt odległe, a stosunki zbyt mało znane. Nie zaciemniają horyzontu opary, unoszące się nad szyldami partyjnymi. Wypadki współczesne lub ledwie wczorajsze wydawałyby się faktami, wydobytymi z archiwalnej głębiny, gdyby nie współczesność wyrażeń i dzisiejszość dążeń.

Z obszernej, namiętnej polemiki, toczonej dokoła faszyzmu francuskiego i poglądów Jerzego Valois, z długiego szeregu artykułów tego ostatniego wyłaniają się, oprócz zasadniczych linij pragramu — pewne programu tego szczegóły, niemniej od głównych jego punktów ciekawe. Są to jakby zaczątki przyszłych wielkich linij, o których kierunku nie wiele jeszcze wiemy i jakby nastroje, które dopiero kiedyś zgęszczą się i przybiorą kształt czynu. Kto wie nawet, czy która z tych linij nie zahaczy w przyszłym swym rozwoju o Polskę? Niejedno zdanie wydaje się echem z nad Wisły, echem o prawdziwej właściwości precyzowania dźwięku i wyjaśnienia znaczenia.

Są tam i echa z przed stu lat i dawniejsze. Humaniści, romantycy, liberałowie z początku ubiegłego stulecia, czy faszyści — to zawsze jakieś młode pokolenie, dążące do stworzenia nowych wartości, do zdobycia wpływu, władzy, sławy i do usunięcia „starych". „Miejsca dla młodych"! wołają kombatanci, którzy wrócili z okopów i widzą, że władza jest jeszcze ciągle w rękach ludzi przedwojennych, stosujących stare, zbyt powolne ich zdaniem i zbyt mało skuteczne, metody działania. Nieliczni tylko z pośród tych dawnych nauczyli się czegoś podczas burzy. Wszystko musi być odnowione, lecz „instytucyj nowych nie zbudują robotnicy przykuci do starej rutyny". Trzeba więc nowych ludzi. I obok wstrętu do komunizmu i niechęci do faszystowskich włoskich metod postępowania pojawia się tu i ówdzie — rzadko zresztą — uznanie dla sowieckiej Rosji i faszystowskich Włoch, jako krajów, gdzie nowi ludzie potrafili przyjść. *Nowych ludzi nie dadzą jednak nigdzie stare, zużyte już stronnictwa*, a dotychczasowe instytucje nie pozwolą im rozwinąć szerszej działalności. *„Naprawa"* jest konieczną. Dotychczasowe hasła są martwe.

„Wydobyliśmy z demokracji, takiej, jaką utworzyli nasi przodkowie wszystko, co z niej wydobyć można; trzymamy dziś w rękach tylko pustą skorupę. I jeśli się nie przystąpi natychmiast do całej serji wielkich reform, nastąpi dla nas, francuzów, zmierzch, upadek i najbardziej upokarzające zepchnięcie na szary koniec."

Tak pisze w *„Volonté"* Charles Albert, polemizujący z obozem Valois. „Naprawa" *(le redressement français)* musi objąć wszystkie dziedziny życia społecznego i państwa. Formułuje ją *Ernest Mercier* w „Temps" (1. VII. 1927). Program jej obszerny: sprawa braku mieszkań, ubezpieczenia społeczne, reforma ustroju szkolnego, zmniejszenie kosztów utrzymania przez lepszą organizację pracy, naprawa administracji, zmiana konstytucji, wreszcie „poszanowanie zagranicą, promieniowanie narodu i Republiki" na kraje dalekie.

To promieniowanie, ten wpływ na innych był przedmiotem rozważań wodza francuskich faszystów również i w tym czasie, gdy jeszcze pracował w *„Action Française"*, a więc przed końcem r. 1925. Przed wojną, generalnym dostawcą dla Europy były Niemcy. Miejsce ich musi zająć Francja, a gdy to nastąpi (po uzyskaniu od Niemiec spłaty odszkodowań) „od nas wymaganą będzie współpraca na wszystkich polach twórczości" — pisze Valois. „Na nasze uniwersytety spadną ciężkie obowiązki. Nasi inżynierowie będą budowniczymi linij kolejowych, mostów, portów części Europy. Będziemy doradcami technicznymi, finansowymi niejednego państwa. To będzie nasz zysk. Ale to będzie także zobowiązanie. Kto odniósł orężne zwycięstwo i staje się opiekunem pokoju — musi być tego pokoju żywicielem — winien jest pomoc, radę, współpracę wszystkim, którzy się do niego zwracają".

A więc posłannictwo europejskie. Valois używa tego wyrazu i określa bliżej jego znaczenie. Francja ma poprowadzić narody ku rozwiązaniu problemów społecznych, pozostawionych przez anarchiczny wiek XIX-ty, przez obalenie demokracji, parlamentaryzmu i plutokracji. Państwo nowoczesne, poddane jednolitej, sprężystej władzy, wspierać się będzie na trzech kolumnach, któremi są: rodzina, prowincja, obdarzona samorządem i cechy.

To posłannictwo jest nawskroś pokojowe. Ale powyższy jego obraz nie jest dokładny. Wśród powodzi nowych haseł i poszukiwań drogi znaleźć można obok chęci przewodniczenia także świadomość posiadania wspólnych z innymi narodami celów, poczucie łączności z niemi. To odkrycie prawie dziwi, gdy się pamięta o przysłowiowym francuskim szowiniźmie. Valois tak tę rzecz wyraża: „Rozpoczęty jest wielki pojedynek między Barbarzyństwem a Cywilizacją, między Hordą a Organizacją, między światem azjatyckim a światem europejskim. Narody europejskie pod grozą śmierci muszą dać sobie takie instytucje, dzięki którym będą mogły zwyciężyć w tej walce i wzmocnić cywilizację".

Na tej płaszczyźnie spotyka się twórca nowej teorji ustrojowej z wieloma myślicielami dzisiejszej Europy i ze wszystkimi tymi, których każdy powiew wiatru od wschodu napełnia niepokojem o przyszłość zachodniej kultury.

Ale czy to nadatlantycka Francja ma być przedmurzem Europy? Czyżby już tak było źle? Czy aż tak było źle w maju 1925 roku, gdy wyżej przytoczone słowa zostały wypowiedziane?

Posłannictwo narodów — to myśl bardzo stara, romantyczna i jako taka przez wielu ogromnie trzeźwych ludzi pogardliwie odtrącana. A oto wraca. Treść jej we francuskim opracowaniu również nie jest wcale nowa — jeśli na chwilę odsuniemy na bok hasła ustrojowe, jako podporządkowane hasłu obrony zachodu. Ale przecież to my przez wieki całe byliśmy przedmurzem, my z tej idei czerpaliśmy siłę i znaczenie na świecie. *Dziś boimy się oskarżenia o imperjalizm i zabiegamy o jaknajrealniejsze myślenie o sprawach politycznych.* Tymczasem bardzo realnie myślący człowiek zachodni mówi o posłannictwie swego narodu i o przedmurzu cywilizacji.

J. Krasicka.

Proces Berliński

Działo się którejś niedzieli w Mahlow pod Berlinem. Hilda Scheller, podówczas piętnastoletnia uczennica, zaprosiła była na noc do mieszkania rodziców młodego chłopca, Hansa Stephana. Ale właśnie wrócił był do domu brat jej Günther, wraz z przyjacielem swym Krantzem. Günther zaś miał osobiste porachunki z Hansem Stephanem na tle jakiejś afery homoseksualnej. Hilda o tem wiedziała; ukryła więc Stephana w sypialni — i po wytłumaczeniu, że chce zostać sama z przybyłym w odwiedziny znajomym, zamknęła się z nim na klucz. Günther i Krantz zasiedli do stołu w towarzystwie Eleonory Ratti, przyjaciółki i rówieśnicy Hildy, lecz po wspólnej libacji i opróżnieniu kilku flaszek wina, Günther zniknął. Wkrótce opuściła mieszkanie i Eleonora. Była 12-ta w nocy.

Minęła noc. Około 7-ej rano, przed udaniem się do szkoły, Eleonora wróciła i zastała Hildę w łazience. Hans jeszcze był w sypialni.

Nagle padł strzał — jeden, drugi, trzeci. Dziewczyny rzuciły się do drzwi. Hilda krzyknęła: Hans! mój Hans kochany! W sypialni, z przestrzeloną głową, leżał Hans Stephan; nieco dalej trup Günthera. Na środku pokoju stał Kranz.

* * *

Wątły, blady, o głowie wydłużonej, w której błyszczące gorączkowo oczy wyrażają myśl bystrą — staje przed sądem Paul Krantz, oskarżony o współudział w zabójstwie.

Noc z soboty na niedzielę Krantz spędził z Hildą. Następną noc spędziła Hilda z Stephanem... i Krantz wiedział o tem. Więcej! był pod jednym z nimi dachem.

* * *

Ale nie Krantz zabił. Zabił Günther. I nie do kochanka siostry swej strzelał, lecz do człowieka, który znał tajemnicę jego karalnych stosunków z pewnym starszym jegomościem. A potem sam się życia pozbawił. Krantz, jedyny świadek tej sceny, Güntherowi nie przeszkodził. A więc był w zmowie. — Oto treść oskarżenia po ustaleniu faktów, które wyszły na jaw podczas przewodu sądowego.

* * *

Przesuwając przed oczyma powyższe obrazy, nie analizujemy wypadków, nie podkreślamy okropności tych dwuch następujących po sobie, nocy miłosnych, nie podnosimy, jakby to uczynić należało, że Hilda ma 15 lat, że aktorami tych scen są dzieci prawie — i że wszystko obraca się dookoła niesamowitych jakichś wizyj, przesłaniających nam rzeczywistość, której objąć nie jesteśmy w stanie. Ale trzebaby pióra Dostojewskiego dla wyrażenia tej zgrozy. Tragedja, którą odtworzyli w fragmentach świadkowie w procesie berlińskim, jest najokropniejszą halucynacją, jaka nas może nawiedzić. Już samo zestawienie faktów wywołuje refleksje, co do których trudno jest osądzić, czy należą do kategorji racjonalnego myślenia, czy też pogrążają nas w otchłań irracjonalizmu graniczącego z chorobą. I w ramach artykułu dziennikarskiego niesposób omówić podłoża psychologicznego tragedji — z tego bodaj względu, że nieprzeprowadzenie klinicznego rozpoznania psychjatrycznego Hildy i Günthera uniemożliwia zobrazowanie ściślejsze.

* * *

O oskarżonym tylko wiemy z ekspertyzy psychjatrycznej, że jest słabo rozwinięty fizycznie, o konstytucji neuropatycznej, przy czem pamiędzy wyobraźnią jego a czynami woli zachodzi dysharmonja, stwarzająca rozdwojenie osobowości. Zdania ekspertów w wielu jednak punktach są rozbieżne. Pewnem się tylko wydaje, że stosunek Krantza z Hildą nie był z jego strony pierwszem przeżyciem seksualnem, podobnie jak i ze strony Hildy, która wogóle psychicznie nie zareagowała. Jednak moment zazdrości odegrał pewną rolę w zachowaniu się Krantza owego tragicznego ranka, zdaje się jednak, że jeszcze większą — obficie w ciągu nocy spożyty alkohol.

To też na pytanie, czy Krantz był zupełnie świadomy siebie tej nocy, czy był w zmowie z Güntherem i czy dlatego nie przeciwdziałał, że nienawidził Hansa, — dali odpowiedź sędziowie, gdyż biegli psychjatrzy różnego byli zdania. Dla publiczności, która z niesłychanem zaciekawieniem śledziła przebieg sprawy, punkt ciężkości przesunął się w pierwszej chwili na Hildę.

Cóż to za potworne stworzenie, ta prześliczna, 16 lat licząca dziś kobieta, — „bóstwo i djabła mieszcząca w jednej osobie"! (słowa Krantza). Gdybyśmy nawet mieli kliniczny obraz psychjatryczny, nie moglibyśmy wyrobić sobie zdania o Hildzie Scheller. Hilda nie jest psychopatką. Z przewodu sądowego wynika, że miała licznych kochanków. Z jednym starszym panem „tylko się całowała"; na zapytanie przewodniczącego czy dlatego, że ją zapraszał do teatru, Hilda zaprzecza z oburzeniem — i ten jeden odruch wystarcza prawie do odrzucenia hipotezy, jakoby Hilda była chorobliwie amoralna. A więc to, że po spędzeniu nocy z Krantzem telefonuje już następnego dnia do Stephana, by umówic się z nim na wieczór, że zaprasza go do siebie i spędza z nim noc, mimo, że Krantz jest w sąsiednim pokoju i wie o wizycie Stephana, — to ma być zjawiskiem normalnem dla piętnastoletniej dziewczyny!

* * *

Proces Krantza wywołał ogromne poruszenie w Niemczech. Najpoważniejsi publicyści zabrali głos, przypisując niesłychane zepsucie panujące wśród młodzieży szkolnej psychozie powojennej. Odezwała się też ostra krytyka systemu wychowawczego w szkole, który właściwie pozostawia młodzież samej sobie i nie stwarza żadnego kontaktu duchowego między uczniem a nauczycielem.

Czy jednak proces ten jest rewelacją? Czy z poszczególnego wypadku wyciągnąć można wnioski o „ogólnem zepsuciu wśród młodzieży szkolnej"? Jesteśmy zdania, że tak, jak się kształtowały wzajemne stosunki tej grupy uczniów i uczenic, która stanęła przed sądem, wypadają mniej więcej ogólne stosunki wśród młodzieży niemieckiej. Rozluźnienie węzłów moralności charakteryzuje wszystkie prawie społeczeństwa europejskie i amerykańskie, które przeżyły wojnę światową, — a już Niemcy niewątpliwie stoją na miejscu naczelnem. Z Berlina wydalono niedawno korespondenta jednego z największych dzienników paryskich za jakieś przesadne w brutalności swej sprawozdanie, opisujące orgje na ulicach miasta w noc Sylwestrową. Ale bo też Francuz nie widział nigdy w Paryżu podobnej rozpusty, jaka panuje w Berlinie.

Hilda Scheller nie jest wyrafinowaną kobietą. Jeżeli stosunek z mężczyzną nie przedstawia dla niej zbliżenia psychicznego, to dlatego, że jej przeżycia miłosne są tylko na pół świadome, jeszcze nieskrystalizowane. Niezrozumiałe na pierwszy rzut oka postępowanie jej wzgledem Krantza wynika właśnie z braku świadomości miłosnej i świadczy przedewszystkiem o tem, że ulegała tylko popędom bez najmniejszego oporu, jakgdyby wielkie hamulce moralne naraz i niespodzianie zawiodły.

Dr. Z.

Nowy samochód Forda

Olbrzymia jest zasługa Forda około rozwoju komunikacji na kuli ziemskiej. Dla wypuszczonych z jego fabryk 15 miljonów samochodów wybudowano niezliczone tysiące kilometrów nowych dróg. Do najodleglejszych wiosek murzyńskich dotarło jego nazwisko, daleko wcześniej niż nazwiska i pojęcia takie jak Edison i Marconi. Wszystkie rasy na kuli ziemskiej znają samochody Forda, wszystkie kolory skóry ludzkiej spotyka się przy kierownicy tego samochodu.

Jednym z najważniejszych czynników, dzięki którym samochód ten tak się rozpowszechnił, jest ogromna łatwość kierowania nim. Przy pomocy kilku prymitywnych i instynktownych niemal ruchów rąk i nóg można było kierować tą maszyną, a ruchy te, mające do pewnego stopnia charakter atawistyczny, łatwo przyswajał sobie nawet mieszkaniec dżungli. Można sobie tedy wyobrazić z jakiem zaciekawieniem czekają miljony ludzi na pojawienie się nowego „Forda" i że fakt ten jest dla nich zdarzeniem o wiele ważniejszem niż np. rewolucja w Chinach.

Długi czas z napięciem czekano i starano się odgadnąć, jakiego rodzaju będą zmiany i ulepszenia, mające stanowić niespodziankę nowego modelu fordowskiego samochodu. Zagadka ta została obecnie rozwiązana i dowiadujemy się, że nie stajemy wobec żadnej nowej, epokowej, konstrukcji, lecz tylko wobec ulepszonych szczegółów. Fachowiec przewidywał to dawno, wiedząc, że od szeregu lat w konstrukcji samochodu nie następują żadne zasadnicze zmiany. Poprzedni model fordowski był już nieco przestarzały — nowy model postawiony został na poziomie konstrukcyjnym współczesnym, a w niektórych szczegółach przewidziano już zmiany, które gdzieindziej może dopiero jutro zostaną zastosowane.

Wydajność motoru została znacznie powiększona przez zastosowanie szeregu ulepszeń, jak np. aluminjowe tłoki itp. Napęd z ręczną przekładnią, trzema biegami w przód i jednym biegiem w tył, podobny jest do konstrukcji, stosowanej przy wszystkich innych samochodach, podwozie otrzymało foremniejszą i zgrabniejszą chłodnicę, koła o drucianych szprychach, hamulec na cztery koła i lekko pracującą kierownicę.

Najważniejszem jednak jest wyposażenie tego samochodu, a to ze względu na wymagania rynku amerykańskiego, który przedewszystkiem wchodzi w rachubę jako jego nabywca. Odkąd pod względem konstrukcji niema już prawie żadnych różnic pomiędzy poszczególnemi markami, amerykański przemysł samochodowy całą swoją uwagę zwraca na wyposażenie samochodu. Nazywa się to tam „Equipment" i odnosi się wrażenie, jakoby Amerykanin, wręcz zakochany był w tem słowie. Nowy „Ford" jest zatem „equiped" w ochraniacz zderzeniowy na przodzie, hydrauliczne amortyzatory wstrząśnień, automatyczny wycieracz szyby przedniej, lustro dla obserwacji tyłów, latarkę, sygnalizującą hamowanie wozu t. zw. „latarkę na stop", licznik kilometrowy, zegar benzynowy, przyczem dwa ostatnie przedmioty zmontowane są na szczególnie ozdobnej i ładnie oświetlonej desce.

Karoserje, stosownie do nowoczesnego smaku, są znacznie niższe, bardziej zaokrąglone i lepiej wewnątrz urządzone, dzięki czemu maszyna jako całość robi wrażenie o wiele korzystniejsze niż dotychczas. Dobór modeli karoseryj czyniony jest z uwzględnieniem międzynarodowej mody, która wymaga od każdej konstrukcji harmonijnych linij. Trzeba przyznać, że Ford dokonał nielada dzieła, dając najtańszemu na świecie samochodowi wymienione powyżej dodatki, z których wiele spotykało się dotąd tylko przy samochodach drogich.

Sensację w konstrukcji nowego modelu Forda stanowi **zastosowanie na stal sprasowanych włókien bawełnianych do kół zębatych.** Blisko od dziesięciu lat pracuje przemysł amerykański nad tym problemem, fakt, że Ford zastosował go w swoim nowym modelu, wskazuje, że został całkowicie rozwiązany. Korzyści z zastosowania tego materjału do konstrukcji trybów polegają głównie na bezszelestnym biegu wozu. Ocenić potrafi to należycie każdy, kto musiał często znosić szarpiący nerwy skowyt trybów. Wielką rzeczą jest również zastosowanie **nie pryskającego** szkła. Szyba taka składa się z dwuch cienkich płyt szklanych, między którymi zaprasowana jest przeźroczysta warstwa celluloidu. Szkło takie znane jest już od półtora wieku, ale wyposażenie karoserji w szyby z takiego potrójnego szkła, podniosło dotychczas, przynajmniej w Ameryce, cenę samochodu o kwotę, za którą można było prawie kupić „Forda". Statystyki dowodzą, że znaczna większość okaleczeń przy zderzeniach i wypadkach samochodowych przypada na okaleczenia odłamkami pryskających w czasie wypadku szyb. Można wyobrazić sobie, jaki efekt będzie miało zastosowanie niepryskającego szkła w samochodzie, najbardziej na świecie rozpowszechnionym.

Wszystkie opisane powyżej zmiany konstrukcyjne i ulepszenia umiano na ogół pomieścić w dotychczasowej cenie „Forda", tak że w Ameryce będzie można mieć podobnie jak dotychczas nowego „Forda" z kompletnem wyposażeniem i zapasowem kołem **za 400 do 500 dolarów,** zależnie od rodzaju karoserji. Jak wyglądać będzie cena tego wozu u nas, powiększona o koszta transportu i cła, zobaczymy niebawem.

W t. zw. lepszych sferach amerykańskich nie uważano „Forda" za samochód w pełnem znaczeniu tego słowa. Mówiono tam np. „Mam dwa samochody i jednego Forda". Nie było też w dobrym guście w tych sferach, jeśli ktoś używał Forda do jazdy. Nawet biuralistki i modystki, gdy jakiś kawaler zaproponował im przejażdżkę samochodem, odpowiadały: „Jeżeli pan zajedzie po mnie Fordem, to szkoda fatygi!" Takie nastroje wobec Fordów odbijały się ostatnio już bardzo niekorzystnie na interesach Henry Forda i to był decydujący wzgląd, który skłonił go do fabrykacji nowego modelu, mimo że koszta przebudowy zakładów fabrycznych i przystosowania ich do nowej konstrukcji wyniosły kilkaset miljonów dolarów.

Ford, który nauczył masy jeździć samochodem, pragnie im teraz dostarczyć maszynę, która zdolna jest zadowolić także i powstałe z czasem wśród tych mas poczucie smaku i elegancji. Czy jednak uda mu się przełamać uprzedzenia klasy średniozamożnej, tego zgóry powiedzieć nie można.

M. H. B.

Duże i małe litery

(feljeton etyczny).

Istnieje w Polsce zwyczaj pisania wielkiemi literami o tem kto kogo zomordował, uwiódł, oszukał, otumanił, nabrał. Zapewne w szlachetnej intencji zjednania nieznanej dotąd osobie szerokiego rozgłosu cała prasa pomieszcza rewelacyjne sensacje i sensacyjne rewelacje na temat takiego „nowego człowieka". Staje się on odrazu „głośnym" i „wielkim". Uwodzenie istot nieletnich, kradzież najrzadszych pereł i djamentów, szpiegostwo na rzecz wszystkich państw świata — to tylko drobne kamyczki z tego dyademu sensacji, który mu wkłada „opinja" na skroń. A potem — w parę dni — powoli poczynają się pojawiać drukowane maczkiem sprostowania, które z „dyademu sławy" kolejno wyjmują po jednym klejnociku, aż się wreszcie cały ów dyadem rozleci.

Okazuje się więc najpierw, iż ów „wszechświatowej sławy szantażysta" (według tej prasy mówi się u nas o „wszechświatowej sławy" szantażystach; artyści są najwyżej „znani", „cenieni" lub „utalentowani") nie był „wszechświatowej sławy szantażystą". Potem (wkrótce) okazuje się, że wogóle nie był szantażystą.

Niebawem spotykamy wiadomość złożoną „petitem", a opiewającą, że wieści o uwodzeniu nieletnich były mocno przesadzone; osoby uwodzone nie były nieletnie. W dalszym ciągu, po paru dniach, dowiadujemy się z drobniutkich literek, że „osób uwodzonych" wogóle nie było, „co się niniejszem lojalnie prostuje".

Lojalność tego rodzaju możnaby śmiało porównać z lojalnością głodnego wilka, który po pożarciu owieczki, dławiąc się kością „zrzuca" lojalnie szczątki swej ofiary. Sądzę, iż tego rodzaju zadośćuczynienie małą przyniesie pociechę pożartej.

Cierpliwy czytelnik po pewnym czasie doczeka się zupełnego obmycia z brudów nieszczęśliwej ofiary sensacji. Nikogo nie zamordował, nikogo nie uwiódł, nie oszukał, nie otumanił, nie nabrał. Ale to wszystko ogłasza sgę petitem, maczkiem ledwie dostrzegalnym, rzadko czytanym, podczas gdy nieprawdziwe, świadomie nieraz fałszywe oskarżenia gwoli sensacji i radości pospólstwa pisało się wielkiemi literami z których każda była (pozwólmy sobie na ten patętyzm) sztyletem wbitym w niewinne serce.

Naiwny czytelnik — o ile przeczytał te drobne „maczki" — wzdycha z ulgą. Chwała Bogu! wszystko było fatalnem nieporozumieniem, nie przeczymy, że dość przykrem dla niesłusznie posądzonego". „Chwała Bogu! — szepce ów naiwny czytelnik. — Nikogo nie zamordowano, nikogo nie oszukano, nie otumaniono, nie uwiedziono, nie nabrano..."

Nieprawda naiwny czytelniku! Nieprawda! Tu zamordowano niewinnie posądzoną ofjarę! Tu uwiedziono, oszukano i otumaniono — Ciebie!

* * *

Powiedziałem kiedyś w jednej z moich dawnych książek, iż wartoby w życiu dziennikarskiem, dla samego tego życia, wprowadzić jeden jedyny przepis obowiązujący.

Za plucie na podłogę grozi u nas kara tysiąca złotych. Za plucie — na podłogę. Opluwać wszystko pozatem w Polsce — można bezkarnie. Byłoby dobrze, gdyby przepisy policyjne objęły tym zakazem opluwania obok podłóg — również i obywateli państwa.

Podłogi na tem nic nie stracą, a kraj zyska.

Juljan Ejsmond.

Najistotniejsza rewolucja XX-ego wieku

Kilka dni temu odbyły się pierwsze rozmowy telefoniczne między Berlinem a Nowym Yorkiem. Przed rokiem Londyn zapoczątkował ten rodzaj rozmów bezpośrednich bez kabla. Za rok, a może wcześniej — będzie można rozmawiać bezpośrednio z Warszawy czy Łodzi z Nowym Yorkiem, albo Nowym Orleanem Ten, komu będzie potrzeba dowie się podczas godzin giełdowych, jaki akurat w Nowym Yorku jest *cotton market today.*

Koszt tych rozmów jest narazie spory. Z Berlina płaci się za trzyminutową rozmowę 330 marek (ok. 700 zł.), a z Londynu płaciło się początkowo 5 funtów (220 zł.). Ale to są ceny eksperymentalne. Jak na inaugurację takiego cudu jest to cena śmiesznie niska

Trzydzieści lat temu bylibyśmy sam pomysł rozmawiania bez drutu na taką odległość ogłosili za fantasmagorję. Ludzie myślący, a jeszcze bardziej niemyślący, wierzyli, że cokolwiek było do odkrycia i wynalezienia, to już jest zrobione. Maszyna parowa, motor wybuchowy i lampa elektryczna, to wszystko było szczytem doskonałości. Cóż pozostawało do zrobienia? Czysto inżynierska robota — udoskonalanie szczegółów. Ale gdzież tu jeszcze myśleć o jakichś nowych wielkich wynalazkach i przewrotach technicznych? Zdawało się, że dla odkrywcy niema już nic do roboty.

Aż tu naraz wizja i nauka zaczyna robić jedno odkrycie po drugiem. Ludzie o umysłowości rzemieślników, zasiadający na katedrach, pracujący w laboratorjach i fabrykach, zaczęli się niepokoić i niedowierzać. Jakto, jakiś Edison czy Marconi, chce co kilka miesięcy coś nowego wyspekulować i ma śmiałość odrazu to realizować? A cóż będzie z naszymi podręcznikami i pięknemi maszynami parowemi? Kto nam je zamortyzuje?

Mimo to zaczął wystrzelać jeden wynalazek po drugim. Naprzód odkryto promienie „X". Potem nagle pojawił się samochód; ten zresztą się wcale dobrze podobał jako nowy typ sportu dla bogatych ludzi. Ale komuż wtenczas przyszło na myśl, że ten twór stanie się przedmiotem powszechnego użytku, że zrewolucjonizuje budowę miast, dróg, że stanie się niebezpiecznym konkurentem podziwianych kolei żelaznych.

Potem zaczęto pisać cośkolwiek o falach elektromagnetycznych, o przenoszeniu elektryczności na wielkie odległości. Jeszcze dwadzieścia lat temu mało kto chciał wierzyć, że człowiek będzie mógł w powietrzu jeździć prawie tak bezpiecznie, jak jeździł po szynach. A wreszcie przyszedł film i radjofonja, a teraz przychodzi telefonja i telewizja.

Dzisiaj nic nas nie dziwi. Rozmowa telefoniczna między Berlinem a Nowym Yorkiem wydaje się nam prawie tak naturalną, jak rozmowa między Rozenbaumem na Franciszkańskiej w Warszawie, a Rosenstrauchem na Piotrkowskiej w Łodzi. Transmisja wizyjna czeku z Warszawy jeszcze nie nastąpiła, ale wkrótce będziemy sprzedawać i kupować takie czeki na New-York czy Rio.

A co przyjdzie dalej? Niewątpliwie jeszcze bardzo dużo. Jeden pomysłowy człowiek — w języku polskim brak nam pojęcia i określenia na to, co jest *„a man of wision"* — pracuje dla drugiego takiego samego, jedna nauka dla drugiej. Wiadomo przecież, że poziom płynu w połączonych naczyniach zawsze się wyrównuje.

Jesteśmy w okresie największych dotychczas przewrotów w technice, a co zatem idzie metod produkcji. Dalszym nieuniknionym następstwem tych przewrotów muszą być *przewroty społeczne i etyczne.* Liberalizm i marxizm są wytworami ery prymitywnej maszyny parowej i niskiej organizacji wytwórczości owego okresu. Oba systemy są dzisiaj przeżytkami.

Narazie, my w Europie, a zwłaszcza w Polsce, nie możemy sobie poradzić z następstwami zubożenia powojennego. Ale już dzisiaj jest widoczne, że cały świat cywilizowany i niecywilizowany pod przymusem nowej techniki i organizacji zdąża do wzmożonej wydajności produkcji i — pod hasłem efficiency idziemy do ogólnego podniesienia poziomu życiowego szerokich warstw. To wyłoni *zupełnie nowe zagadnienia podziału dochodu społecznego.*

Wynalazki i udoskonalenia techniczne od XVIII wieku aż do końca XIX-go bywały przeważnie *dziełem przypadku i dorywczych eksperymentów.* Nauka koordynowała je z pewnem opóźnieniem. Metody pracy były nadal rutyniczne. Fabryka była niczem innem, jak *rozszerzonym warsztatem* rękodzielniczym, w którym było trochę maszyn. Robotnikiem kierował majster - rutynista. W każdej fabryce inny był rodzaj uświęconej rutyny. Ale wszystkie rutyny miały tę wspólną cechę, że były *nieracjonalne.* (W Polsce, niestety fabryka pozostała przeważnie nadal tym dawnym warsztatem. Zwłaszcza w średnich i małych przedsiębiorstwach b. Kongresówki, spotyka się *horendalną bezmyślność i marnotrawstwo pracy ludzkiej.*

Wiek XX zaczyna *od laboratorjum, od nauki.* Wizja i laboratorjum, metoda naukowa w eksperymencie i metoda naukowa w pracy — oto *znak nowej ery.* Tak samo więcej metody, a *mniej rutyny i przesądów między poszczególnymi jednostkami i warstwami,* między poszczególnymi narodami i państwami. Związki producentów międzypaństwowe, Liga Narodów — są niczem innem, jak *wynikiem ostatniej ewolucji technicznej.*

Ucho elektryczne zbliżyło ludzi do siebie. Oko elektryczne jeszcze ich bardziej zbliży. Człowiek, w Buenos Aires, z którym będę rozmawiał z Warszawy, *będzie mi bliższy,* niż dotychczas, zarówno w myśleniu, jak i w sprawach materjalnych. Ten sam człowiek widziany przeze mnie *jeszcze mi będzie bliższy* — ja jego, an on mnie będzie kontrolował w myślach i poczynaniach. Może nasi synowie, a może jeszcze my, będziemy mogli widzieć skądkolwiek, jakikolwiek krajobraz i człowieka. *Telewizja* będzie rzeczą tak łatwą, jak dzisiaj już telefonja bez drutu. Nie dość tego: nie będziemy się obracać myślowo w naszym zaklętym zaścianku, ani też w ciasnym kole kilku wielkich miast europejskich i amerykańskich.

Będziemy doskonale wiedzieć, czy ktoś ma wrogie zamiary wobec nas, jaką ma broń i kiedy może na nas uderzyć.

Wojna stanie się nierealną. Trudno kogoś zaskoczyć, jeżeli przygotowania wojenne każdy i skądkolwiek będzie mógł widzieć.

Wiek XIX był w zestawieniu z wiekiem XX-ym — nie zapominajmy, że wiek XX-ty się dopiero zaczyna — tak samo pierwotny i zacofany, technicznie i społecznie, jak wiek XII-ty w oczach ludzi XIX-go wieku. Widzimy i przeczuwamy dopiero magiczne zaczątki wielkiego przewrotu, opartego na systemie naukowego myślenia i działania.

Troj.

Dwa miljardy na budynki szkolne

Sprawa budowy nowych budynków szkolnych w takiem tempie, by odpowiedziały one nietylko obecnemu zapotrzebowaniu, ale również najbliższej przyszłości, kiedy to liczba dzieci w wieku szkolnym wzrastać będzie w liczne miljony, należy nietylko do najważniejszych zagadnień szkolnych, lecz także dotyczy ogólnopaństwowej gospodarki finansowej, jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi, które wpłynąć musi nad wyraz poważnie tak na budżet ogólnopaństwowy, jak i na budżety samorządów miejskich. a przedewszystkiem wiejskich.

Sprawa ta stanowi stały przedmiot trosk wszystkich czynników, zajmujących się kwestją oświaty, to też najwięcej w tym kierunku wyładowano energji. O tych poczynaniach dość powiedzieć, że w niektórych województwach do r. szk. 1925/6 przybyło w stosunku do r. szk. 1920/1, aż 122,7 proc. izb (woj. poleskie) lub 95,5 proc. (woj. wołyńskie). W woj. centralnych przybyło 22,7 procent izb, a w całej Polsce około 15 procent. Ogółem w ciągu pięciu lat przybyło w Polsce 6126 izb szkolnych. Wszystkich zaś izb szkolnych posiadała Polska w r. szk. 1925/6 — 54,203, z czego 13,321 przypada na miasta, a 40,882 na wieś. Z pośród tych zaś tylko część, t. j. 31480 izb było własnych, reszta przypadała na wynajęte. Najwięcej izb we własnych budynkach miały woj. zachodnie (97,8 proc.), Śląsk (95,1 proc.), gorszy był stan w woj. południowych (76,1 proc.), jeszcze gorszy w woj. wschodnich (40,5 proc.), najgorszy zaś w woj. centralnych, bo tylko 30,8 procent izb szkolnych znajdowało się w budynkach własnych, przy czem stan w miastach nie o wiele był lepszy niż na wsi.

Te cyfry pozwalają już nam wyciągnąć wniosek co do wartości pomieszczeń szkolnych, które w takiej liczbie znajdują się w budynkach wynajmowanych. Znamy te nory miejskie, często ciemne, bez światła, wilgotne, a prawie zawsze w domach czynszowych, nieodpowiednich na szkoły, znamy te izdebki wiejskie bez podług, o maleńkich oknach, owe lepianki i niemal ziemianki.

O stosunkach zaś, panujących w tych izbach, pouczyć może zestawienie, dotyczące liczby uczniów, przypadających na 1 izbę szkolną. Otóż objaw powszechny: przepełnienie. Na jedną izbę szkolną przypada w w Polsce przeciętnie 56 uczniów! W miastach jest nieco lepiej, bo przeciętna wynosi prawie 53, kiedy na wsi przeszło 57. Najgorzej zaś tak w miastach, jak na wsi jest w woj. centralnych (przeszło 60). W poszczególnych wypadkach stan jest jeszcze straszniejszy. W takiem np. woj. kieleckiem wypada na izbę szkolną w mieście 78 uczniów, na wsi prawie 70, w woj. lubelskiem w mieście przeszło 66, w woj. łódzkiem przeszło 64 i t. d. Czyż można mówić w takich warunkach o normalnej pracy, o wynikach dodatnich, o stosowaniu nowoczesnych metod nauczania?

Wyrazem przepełnienia są też liczby, przedstawiające, ilu uczniów przypada na $1m^2$ powierzchni. Normalnie powinien na $1m^2$ przypadać 1 uczeń, tymczasem w Polsce wypada 1,3 ucznia, przy czem znowu w mieście jest lepiej (1,2) niż na wsi (1,4). Najlepszy stan panuje w woj. zachodnich i południowych, kiedy woj. wschodnie, a zwłaszcza centralne wykazują niekiedy na $1m^2$ aż 2 uczniów. Cyfry, dotyczące powiatów, obraz ten jeszcze pogarszają i wykazują, że jest 26 powiatów, w których na $1m^2$ przypada ponad 2 uczniów.

Dr. Falski w swem omówieniu cyfr podaje jeszcze następujące, wprost nie do wiary, ilustracje:

„W pow. warszawskim szkoła Nr. 60 ma izbę o powierzchni $8{,}5m^2$ i uczniów 70; w powiecie radomskowskim szkoła Nr. 192 izbę o pow. $7{,}5m^2$ i uczniów 77; w pow. opoczyńskim szkoła Nr. 66 izbę o pow. $6{,}6m^2$ i uczniów 51; w pow. puławskim szkoła Nr. 139— $7{,}3m^2$ i 56 uczniów; w pow. wołożyńskim $7{,}5m^2$ i 72 uczniów; w pow. horuchowskim $5m^2$ (sic!) i uczniów 60 (!) i t. d." Zrozumiałe wobec tego jest pytanie autora: „Jak długo godzić się można na istnienie tego rodzaju stosunków".

Wobec takiego stanu jedyna wprost odpowiedź: budować nowe izby lekcyjne! I to budować, by okropny wprost stan obecny zmienić, a nadto budować, by pomieścić tę młodzież szkolną, która w najbliższym czasie do szkół powszchnych napłynie.

Zadanie to jest jednak niemałe! Według obliczeń dr. Falskiego w pierwszem dziesięcioleciu 1925/6 — 1935/6 **należałoby budować rocznie po 7,334 — 9635 nowych izb.** Gdybyśmy zaś przyjęli, że koszt budowy izby szkolnej wynosi przeciętnie tylko 20,000 złotych *), to wydatek nasz roczny na budowę szkół wynosiłby **okrągło od 150 do 200 miljonów złotych rocznie.** W ten sposób przy obciążeniu 43,5 uczniów na izbę szkolną mielibyśmy w r. szk. 1935/6 128,524 izb szkolnych, a przy obciążeniu 60 uczniów na izbę 93,395 izb szkolnych. Jednem słowem w ciągu dziesięciu lat musimy zbudować drugie tyle izb, ile posiadamy dziś, o ile uznamy, że wszystkie dotychczasowe izby są dobre. Gdybyśmy jednak ograniczyli się do pozostawienia szkół tylko w budynkach własnych, a musimy to uczynić, bo izby wynajęte w olbrzymiej większości nie nadają się cele szkolne, to izb tych w ciągu dziesięciolecia przybyćby musiało 96,353 względnie 60,924, zależnie od tego, czy uznamy liczbę 43 czy 60 uczniów za obciążenie normalne.

Ażeby się czytelnik mógł zorjentować, jakie obowiązki spadają pod tym względem na poszczególne województwa w najbliższem dziesięcioleciu, podaję za Dr. Falskim następujące zestawienie, dotyczące liczby nowych izb przy zużytkowaniu izb obecnych w budynkach własnych przy obciążeniu 43,5 czniów na izbę.

Otóż w województwach:

centralnych	potrzeba	46481	izb
wschodnich	„	20260	„
zachodnich	„	3928	„
śląskich	„	2659	„
południowych	„	23025	„

Jeśli zaś chodzi o poszczególne województwa, to zapotrzebowanie jest następujące:

miasto Warszawa	2665	nowych	izb
woj warszawskie	9388	„	„
„ łódzkie	8549	„	„
„ kieleckie	10966	„	„
„ lubelskie	9083	„	„
„ białostockie	5830	„	„
„ wileńskie	4380	„	„
„ nowogrodzkie	4031	„	„
„ poleskie	5279	„	„
„ wołyńskie	6570	„	„
„ poznańskie	2690	„	„
„ pomorskie	1238	„	„
„ śląskie	2659	„	„
„ krakowskie	5676	„	„
„ lwowskie	8364	„	„
„ stanisławowskie	4655	„	„
„ tarnopolskie	4330	„	„

Dość pomnożyć te cyfry przez 20,000, aby obliczyć, ile poszczególne województwo wydać musi w najbliższem dziesięcioleciu na szkoły powszechne. Może w pewnych wypadkach cyfra 20,000 złotych za izbę szkolną okaże się za wysoką, zwłaszcza na wsi, ale w miastach, o ile się weźmię pod uwagę, że trzeba uwzględnić też salę gimnastyczną, pracownie, korytarze, mieszkania dla nauczycieli i woźnych, a nadto urządzenie izby i pomoce naukowe, koszt już obecnie jest znacznie wyższy i dochodzi do 40,000 złotych przeciętnie.

A trzeba jeszcze pamiętać, że wysiłek ten nie jest ostateczny, że po roku 1935/6 nie można będzie stanąć bo liczba dzieci będzie rosła w dalszym ciągu, że w roku 1939/40 liczba izb wzrośnie do 107,099 czyli o 10,746 w ciagu czterech lat!

Ogólny zatem wydatek społeczeństwa na rzecz szkolnictwa do r. 1939/40 wynosić będzie **przeszło 2 miljardy złotych.** Przy takim tylko wysiłku możemy myśleć o pomieszczeniu wszystkich dzieci w wieku szkolnym w szkołach powszechnych jaknajwyżej zorganizowanych. Wprawdzie odpadnie pewien procent dzieci na rzecz szkół prywatnych, na klasy niższe szkół średnich ogólnokształcących czy na prywatną naukę, ale procent ten zbytnio cyfry tej nie obniży. A do tych wydatków podać musimy jeszcze wydatki związane z uposażeniem nauczycieli, których liczba z 69044 wzrośnie w r. szk. 1935/6 do 132,634, a w r. 1939/40 do 143,690.

Nad temi realnemi cyframi, wynikającemi z realnych potrzeb państwa, które nie może wstrzymać naturalnego rozwoju oświaty, społeczeństwo realnie się musi zastanowić. Przed temi cyframi uciec nie można, nie można też ich pokryć frazesem, ale trzeba pomyśleć o nowych źródłach dochodów, o tem, kto winien wziąć na swe barki ten olbrzymi ciężar wydatków. O tem pomyśleć winien przedewszystkiem sejm i rozdzielić ten ciężar odpowiednio na rząd i samorządy. Zdaje się jednak, że bez podniesienia ogólnej zamożności obywateli, bez przerobienia ich na odpowiednio uzdolniony materjał podatkowy, zadanie będzie trudne do rozwiązania. Sprawa ta zatem jest ściśle związana z ogólnopaństwową polityką gospodarczą.

T. A. Nik.

*) Min. Wyzn. Relig. i Ośw. Publ. oblicza koszt budowy 1 izby wraz z zabudowaniami gospodarczemi od 25 do 45 tysięcy, zależnie od liczby izb, mieszczących się pod jednym dachem.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Pierwsza książka polska z dziedziny aeronautyki

Wiek dwudziesty, a zwłaszcza wielka wojna światowa otworzyły ludzkości nowe obszary, a mianowicie powietrze. Odległości pomiędzy krajami znikły. Wszak w przeciągu kilku godzin można przebyć największe przestrzenie, dostać się z zawrotną szybkością tam, dokąd koleją trzebaby jechać dziesiątki godzin. Jak strasznem narzędziem jest balon, czy aeroplan, wykazała wojna światowa. Jakie zaś dobrodziejstwa daje społeczeństwu, stwierdzają lata pokojowej pracy narodów. W ten sposób spełniły się marzenia pokoleń, zda się niezniszczalne, sięgające jeszcze mistycznego Ikara. Ostatnie regjony świata, niedostępne dla człowieka, znikły.

Dotychczas panowało przekonanie, iż w pracach w dziedzinie aeronautyki brał udział wyłącznie Zachód, iż pracownikami byli wyłącznie cudzoziemcy. Znamy dobrze Bleriotów i innych śmiałych żeglarzy powietrznych, lecz do tej chwili nikt nie zetknął się na owych terenach z Polakiem.

Tymczasem stwierdzić należy, iż i Polacy, cały szereg lat przedtem, zanim marzenia o statkach powietrznych stały się rzeczywistością, zagłębiali się w badaniach nad istotą żeglugi powietrznej, tworzyli projekty budowy statków powietrznych, w pewnej mierze przypominających dzisiejsze samoloty. Że twierdzenie to zgoła nie jest gołosłowne, dowodzi niewielkich rozmiarów książka: **„Parolot Żmudzina z rysu swobodnej myśli" przez Aleksandra Hryszkiewicza, Kowno 1851 roku.**

Druk ten rzadkości nadzwyczajnej, prawieże unikat. Nie zna go żadna bibljografja, nawet ów niezrównany tytan wiedzy Karol Estreicher.

Wydany w niewielkiej ilości egzemplarzy, nie był nigdy w handlu księgarskim, bezpośrednio po ukazaniu się zniszczony przez autora, lub kogoś z jego rodziny. Z całego też nakładu pozostały ledwie, że dwa egzemplarze!

By wyczerpać wiadomości bibljograficzne, należy zaznaczyć, iż **„Parolot"** należy do nielicznych druków kowieńskich, swem starannem wykonaniem typograficznem, przynoszącym zaszczyt macierzystej drukarni.

O autorze Aleksandrze Hryszkiewiczu niewiele, a raczej prawie nic nie wiemy. Był urzędnikiem Izby cywilnej kowieńskiej, piastował godność radcy honorowego.

Wnioskując z rzeczonej książki, autor był człowiekiem wykształconym. Znał język niemiecki — dowodzą tego liczne odwoływania się do pism i dzieł, wydanych w owym języku.

Był gorliwym czytelnikiem gazet — słyszymy o **„Pszczole Północnej", „Gazecie Warszawskiej", „Kurjerze Litewskim"** i t. d.

To wszystko, co wiemy o naszym teoretyku - aeronaucie.

Jedynym śladem istnienia jego pozostał tylko ów **„Parolot"**, zasługujący też pod każdym względem na odpowiednie miejsce w dziejach aeronautyki i na wyczerpującą fachową ocenę.

W pierwszym rozdziale opowiada nam autor o balonach i udowadnia ich małowartościowość i bezsilność wobec żywiołu powietrznego. Baczną uwagę zwrócić się musi na ptactwo, które, chociaż znacznie cięższe od powietrza, na mocy prawa ciężkości wznosi się w żądanym kierunku przy pomocy dwuch czynników: „skrzydeł i machania niemi". „O tem się musi pamiętać, o ile chciałoby się balon uczynić niezależny od watru, a posłuszny człowiekowi".

W rozdziale „Lot ptaków" przytacza nam Hryszkiewicz dotychczasowe próby skronstruowania balonu - ptaka.

Po przypomnieniu, iż coraz bardziej budziło się przekonanie, że do opanowania powietrza należy naśladować ptaki — wysiłki Niemców Degena i Dreberga, Amerykanina Thuda, celem skonstruowania skrzydeł, przyczepionych do ciała człowieka — i po odmalowaniu trudności, jakie się tutaj napotkać musi, przytacza Hryszkiewicz, jako owoc swoich wysiłków, kilka projektów własnych.

Najciekawszy jest projekt trzeci, zilustrowany przez autora na figurach dodanych do książki. Jest on połączeniem parolotu z balonem. „Do jego wzniesienia się jednak potrzebny jest zjazd z góry, lub z umyślnie podniesionej wysokości. Z czterech skrzydeł dwa dolne służą do machania, a wierzchnie dla równowagi i kierunku przez składanie ich naprzód lub wtył — podejmując cały ciężar na oporze powietrza, zmniejsza one potrzebę częstego machania dolnemi. Dla wzmocnienia i zyskania siły dążenia, pod skrzydłami są dwa koła rozpędowe pod nakryciem; prócz tego, choć w małej skali, warto byłoby zapomocą dwuch pomp, na przodowym pokładzie umieszczonych wyciągać powietrze ze środka łodzi i z tyłu przez klapę znowu je wypuszczać, zwracając przez to parcie atmosfery na tylną część. Nogi na czterech kołach służą dla początkowego zjazdu z góry. Machanie skrzydłami i ruch kół pędowych, w wielkiej skali sprawić powinna machina parowa, a w małej — sprężyny i ludzie w środku umieszczeni: trzech na tylnej, dwuch na przedniej ławce; więc szerokość łodzi najmniej trzy łokcie mieć powinna, wielkość zaś kuli balonowej także mniejszą być nie może, a zwiększenie jej zależy od potrzeby ulżenia ptaka, w zdarzeniu zbytniej i nieodpowiedniej skrzydłom ciężkości".

Wstrzymuję się od oceny, czy projekt powyższy w praktyce mógł znaleźć zastosowanie?

Jak ogół odnosił się do badacza?

W odpowiedzi przytoczę odpowiedni ustęp pracy:

„Takie to myśli stały się osnową kilku projektów, do których spełnienia od roku 1893, napróżno szukając pomocy, dotąd nie znalazłem nikogo przychylnego moim zamiarom, a chęć uskutecznienia ich własną siłą wstrzymana została niedostatkiem czasu i pieniędzy.

Więc próżno Pegaz rwie się pod niebiosy,
Gdy w jarzmo z woły zaprzęgły go losy;
Więdnąc w niewoli, same tylko myśli,
Chęci i czucia w tem pisemku kreśli.

I próżno wołom lot świetny dowodzi,
Przywykłym w jarzmie, wszak swoboda szkodzi!
Więc czekać musi, nim przyszłość daleka
Wśród tłumu ludzi odkryje człowieka".

Wyznanie tak wymowne, chyba nie potrzebuje żadnych komentarzy!

Adam Galiński.

Zimowe igrzyska olimpijskie

(Wrażenia z St. Moritz)

Tegoroczne zimowe igrzyska olimpijskie w St. Moritz były drugiemi z rzędu. Pierwsze odbyły się w roku 1924 w Chamonix, a urządzała je Francja. Tym razem kolej wypadła na Holandję. Ale trudno doprawdy w Holandji skakać na nartach i sankować się. To też Szwajcarja wyręczyła Holandję i urządziła zimową olimpjadę u siebie w swoich górach. Jako miejsce igrzysk obrano głośną miejscowość St. Moritz. Wydano na organizację całej imprezy i na techniczne przygotowania sporo pieniędzy, ale cały ten wydatek Szwajcarja może zaksięgować na konto reklamy i propagandy, bo na marne nie poszedł i sporo pieniędzy napędziła olimpjada szwajcarskim hotelarzom.

Zaczynamy przegląd igrzysk od biegu szybkości na łyżwach. 500, 1,500, 5,000 i 10,000 metrów. Łatwo się to czyta, ale nieco trudniej to zrobić. Od takiego np. Nurmi'ego światowego rekordzisty w biegu, nikt nie żąda, aby jednakowo dobrze biegał na dystansie 100, 1000 lub 5000 metrów. W zwykłym biegu każdy szybkobiegacz ma swoją specjalność. Ten, który bije wszystkie rekordy na dystansie 100 metrów, nie próbuje nawet ubiegać się o miejsce w biegu na 5,000 metrów, a ten, który pretenduje o mistrzostwo w biegu pięciokilometrowym, nie staje do biegu stumetrowego. Inaczej na lodzie. Zwycięzcą jest ten, kto wszystkie odległości bierze w najlepszym czasie. Szybkość takiego biegu jest niewiele mniejsza od szybkości dobrze przyśpieszonego pociągu osobowego. Na jakitaki wynik może liczyć ten, który potrafi w 1 i ¾ minuty przebiedz przeciętnie kilometr.

Bob. To nie imię bohatera filmu amerykańskiego, ale pewnego rodzaju otomana, bardzo niska i bardzo prymitywna. Zamiast nóg posiada płozy i służy do jazdy po zlodowaciałym śniegu. Wspomniana otomana posiada jeszcze przyrząd do kierowania i do hamowania. Ostatniego nie używa się nigdy, pierwszego bardzo rzadko. Na takiej otomanie siada kilka osobników w ten sposób, że jeden sadowi się drugiemu na łonie, poczem cała machina zjeżdża z piekielną szybkością z góry po silnie zmarzniętym śnieżnym torze. Gdy droga jest zbyt spadzista i niebezpieczna, zrobiony jest zakręt, aby jeszcze bardziej było niebezpiecznie. Zwycięża ten, kto dwa razy z rzędu najszybciej przeleci całą drogę.

Podczas, gdy na omawianej otomanie zjeżdża się siedząc lub leżąc na plecach, są i tacy, którzy wolą położyć się na brzuchu i samotrzec pędzić z góry na dół. W tym celu sprawiają sobie małego „bobka" i taką zabawę nazywa się skeletonem. W St. Moritz należy do dobrego tonu, aby każdy młodzieniec, który nieco dba o swoją opinję, starał się w ten interesujący sposób połamać i poprzetrącać sobie kości. Rekord w tej jeździe wynosi 58.7 sekund na przestrzeni 1231 metrów. Tyle bowiem mierzy tor skeletonowy w St. Moritz.

Hockeya na lodzie można właściwie dzisiaj wszędzie oglądać. Jest to najładniejsza gra sportowa, ale dla widza. Chociaż właściwie dla gracza jest ona jeszcze piękniejszą, bo w niej jest wszystko: warjacka szybkość, piekielne tempo, ciężar całej gry spoczywa w równej mierze na każdym poszczególnym graczu jak i na całym zespole, a w dodatku przeżywa się w niej wszystkie emocje piłki nożnej, siatkowej, wodnej i jak się one wszystkie nazywają. Hockey na lodzie jest grą esencjonalną. Tak jak w puszce ekstraktu Liebiga mieści się treść całego wołu, tak i w partji hockeya lodowego na małej przestrzeni ma się najbardziej emocjonalne części całego szeregu gier sportowych. To trzeba widzieć.

Skoki na nartach. Nazwa jest mylna, bo na nartach się nie skacze. To nie jest skok, lecz spadanie w przepaść, tak w przepaść. Skacze się bowiem według zasad aerodynamiki, a więc jest to właściwie lot nie skok i dlatego trzeba dobrze znać prawa lotu i do nich się stosować, układając swoje ciało w ten sposób, aby w czasie lotu stawiało jaknajmniejszy opór dla powietrza. Patrząc z boku, albo jeszcze lepiej z dołu na narciarza, lecącego w przepaść, dech nam zapiera w piersiach. Skocznia w St. Moritz nie jest bynajmniej zbyt śmiało projektowana, a jednak przy skoku 60-cio metrowym leci się w około czeterdziestometrową przepaść, a zetknąwszy się z ziemią pędzi się jeszcze w tempie stukilometrowem zanim można stanąć i tchu zaczerpnąć.

Skoki na nartach, to najpiękniejszy sport. Człowiek leci w powietrzu, kilkadziesiąt metrów nad ziemią w ciągu trzech sekund i ląduje pewnie i śmiało bez żadnego wstrząsu. Trzeba to widzieć, bo to widok podniosły.

W. M.

Wiedza o Polsce

Po odzyskaniu niepodległości, młode Państwo polskie znalazło się w bardzo trudnem położeniu we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego. Ustalanie granic, wojna bolszewicka, organizacja wojskowa, państwowa, ekonomiczna, szkolna, walka z inflacją, z orgją partyjnictwa, stabilizacja złotego — wszystko to pochłaniało najtęższe energje kraju i odwracało uwagę od nieprzeliczonych naszych potrzeb kulturalnych.

Śród tych potrzeb była jedna, która w przeciągu pierwszych ośmiu lat odrodzonej Polski dawała się uczuwać na każdym kroku: *brakowało nam mianowicie ogólnych, encyklopedycznych źródeł informacyjnych* o nowej Europie, a przedewszystkiem o nowej Polsce. Podręczniki szkolne wypełniały jako tako tę lukę w zakresie wykształcenia powszechnego i średniego, ale starsze pokolenie żyło bez możności sprawdzania tej lub owej wiadomości, dotyczącej powojennego układu stosunków. Dla każdego było jasne, że dawne encyklopedje i słowniki, wydawane pod cenzurą i obejmujące zjawiska Polski przedwojennej, stały się niewystarczające, nie mówiąc już o tem, że nie było ich w handlu księgarskim. Ogólne przesilenie ekonomiczne odbiło się także fatalnie na księgarstwie, któremu brakło środków na podejmowanie przedsięwzięć kosztowniejszych. A tymczasem ubóstwo źródeł informacyjnych stawało się z każdym rokiem coraz dotkliwsze.

Nadeszła wreszcie chwila żywszej inicjatywy i w tym kierunku. Rozpoczął ją p. W. Trzaska, współwłaściciel firmy wydawniczej „Trzaska, Evert i Michalski". Biorąc pod uwagę trudności nabywcze drogich wydawnictw, postanowił ogłaszać je zeszytami. Pomysł udał się doskonale i księgarnia p. Trzaski w dość krótkim przeciągu czasu stworzyła sobie specjalność wielkich podręczników informacyjnych, jak paryski Larousse.

Trzeba było zacząć od uwzględnienia reform, jakie nastąpiły w wewnętrznej organizacji wielu krajów i okręgów po gruntownej przemianie mapy politycznej świata całego. Dla orjentowania się w nowych warunkach polityczno - gospodarczych wszystkich ludów kuli ziemskiej wydano dwutomowy *„Podręczny Słownik Geograficzny"*, sporządzony przez dwuch sumiennych specjalistów, Edwarda Maliszewskiego i Bolesława Olszewicza, którzy szczególniejszą zwrócili w tem wydawnictwie uwagę na sprawy i interesy Polski. Zadanie było niełatwe, jeżeli pomyśleć o olbrzymiej rozległości tematu i o potrzebie podawania podziałów i statystyk powojennych. Jakiej trzymać się metody w wyborze przedmiotów, które „Słownik" podać musi? Autorowie odpowiadają na to zupełnie jasno: jak w każdej pracy tego rodzaju, wybór musiał być subjektywny. Obok danych o wszystkich bez wyjątku krajach i samodzielnych jednostkach administracyjnych, wymienione zostały ważniejsze wyspy, rzeki, jeziora, cieśniny, góry i t. d. Zważywszy, iż chodziło głównie o Polskę, autorowie „Słownika" używają różnej miary informacyjnej. Z miast np. i miejscowości obcych podano te tylko, które zasługiwały na to ze względu na ich położenie geograficzne, lub też ze względu na ich znaczenie historyczne, administracyjne, kulturalne i gospodarcze. W stosunku do krajów europejskich przyjęto za podstawę liczbę mieszkańców danego miasta (od pięciu tysięcy mieszkańców wzwyż); w innych częściach świata liczono się z warunkami miejscowymi, t. j. nie wymieniano np. wielkiej ilości miast chińskich, których ilość mieszkańców przewyższa normę przyjętą dla Europy. Natomiast w sprawach polskich dają pp. Maliszewski i Olszewicz informacje najszczegółowsze, wymieniając wszystkie bez wyjątku miasta i miasteczka, a nawet takie wsie, które budzić mogą większe zainteresowanie dla jakiegokolwiek powodu (przemysł miejscowy, wspomnienia historyczne, wybitne zabytki sztuki etc.). Wyliczono również wszystkie punkty osadnictwa polskiego poza granicami Rzeczypospolitej i zwrócono pilną uwagę na kwestję nazw geograficznych na ziemiach, związanych z Polską państwowo lub historycznie. Podano obecne nazwy urzędowe miejscowości wraz z ich dawnymi odpowiednikami na obszarach Czechosłowacji, Jugosławji, Rumunji, Litwy, Łotwy, Estonji etc.

W ten sposób zbudowana księga odda wielkie usługi każdemu kulturalnemi Polakowi, chociaż mu nie zastąpi wiadomości źródłowych, które przyniesie niewątpliwie w przyszłości obszerniejsze wydawnictwo tego samego typu.

Powodzenie „Słownika geograficznego" zadecydowało o podjęciu przez tę samą firmę wydawniczą podręcznej *„Ilustrowanej encyklopedji* Trzaski, Everta i Michalskiego", wychodzącej pod redakcją Stanisława Lama w zeszytach czteroarkuszowych. Zamierzano zamknąć całość w dwuch wielkich tomach, podczas jednak układu dostarczonych, a zwięźle redagowanych materjałów, okazało się, że wydawnictwo będzie miało pięć tomów, których druk ukończony zostanie w czerwcu r. b. Redakcję poszczególnych artykułów powierzono 180 fachowcom, a na czele wydawnictwa postawiono komitet redakcyjny, złożony z 24 osób, przeważnie profesorów i docentów naszych uniwersytetów i politechnik. W dawniejszych encyklopedjach (jak np. Orgelbranda) przedrukowywano zazwyczaj wiele artykułów z dawniejszych wydawnictw tego samego typu lub też tłumaczono je pospiesznie z wydawnictw obcych. W „Ilustrowanej Encyklopedji Trzaski, Everta i Michalskiego", narzucona zwięzłość artykulików wymagała nowego opracowania, a postępy nauki i techniki ostatnich lat dwudziestu przyniosły cały ogrom materjału, który musiał być podany czytelnikowi w formie najdostępniejszej. Encyklopedja bez ryciny poglądowej byłaby podręcznikiem martwym.

Teatry Łódzkie

TEATR MIEJSKI.

„Moralność pani Dulskiej" G. Zapolskiej.

Po „Grubych rybach" „Moralność pani Dulskiej" — to jakby celowe uszeregowanie dokumentów z życia mieszczańskiego w dwuch bardzo bliskich pod względem czasu, ale odległych kulturalnie epokach. Co za przestrzeń od Ciaputkiewiczów do Dulskich, od Wandzi i Helenki do Hesi i Meli! Zapewne, że odmienność obrazów wynika nietylko z przemiany, jaka zaszła w tem samem mniej więcej środowisku w okresie kilku lat dziesiątków, ale także, a może przeważnie, z odmienności charakteru talentów, które, czerpiąc tematy z życia małomieszczańskiego, ujmowały je po swojemu, dodając od siebie: Bałucki — humor pogodny, a Zapolska — gorzki i zgryźliwy. Dlatego też w jej utworze nie humor decyduje o efekcie całości, lecz raczej zimna trzeźwość, której najwymowniejszym wyrazem jest postać Hanki. Dla tej trzeźwości Zapolska rezygnuje np. z narzucającego się efektu, by Hanka plunęła na pieniądze Dulskiej i wspaniałą tyradą stworzyła kontrast dla zadomowionego kołtuństwa. Nie: jej Hanka najpierw weźmie pieniądze, a potem nawymyśla. i pójdzie. Tej trzeźwości nie zaciemnia Zapolskiej łza bólu, stale jej do oczu napływająca. Patrząc na rzeczy przez tę łzę, ciągle je widziała w pewnem zniekształceniu, które oddaje z mistrzostwem, tworząc prawdziwe syntezy z doskonałymi pozorami realizmu. Wyczuli i uznali to już współcześni, skoro włączyli do słownictwa polskiego wyraz dulszczyzna, uosabiający pewien cały światopogląd i całą sferę społeczeństwa.

Doskonałą tę i prawdziwie tragiczną farsę wybrała Dyrekcja Teatru Miejskiego na spektakl jubileuszowy p. Antoniny Dunajewskiej, spoglądającej już na ćwierćwiecze swej pracy scenicznej. Jubilatka odtworzyła rolę Dulskiej z całą ekspresją swego żywego talentu. Jeżeli wydawać się mogło, że rozpoczęła od tonu tak wysokiego, że nie mogła już przeprowadzić gradacji — to winić za to należy raczej temperament autorki, która najgrubszym pendzlem i najjaskrawszemi barwami malowała tę znienawidzoną postać. P. Dunajewska była posłuszną tej intencji i stworzyła Dulską taką, jaką ją widzieć chciała Zapolska, t. j. złą, chciwą, przewrotną i korzącą się tylko przed ołtarzem pozorów. Wytrawność, zdobyta przez 25 lat pracy scenicznej, pozwoliła artystce przytem utrzymać się na linji mocnej charakteryzacji i nie przekroczyć jej w kierunku szarży.

Ciekawym eksperymentem było powierzenie roli Hesi p. Lubieńskiej, a Meli — p. Jarkowskiej. Zdawać się musiało, że podział tych ról będzie wprost odwrotny i że właśnie cichą Melę odtworzy p. Lubieńska, a p. Jarkowska rozpuszczoną i niesforną Hesię. I niewątpliwie taka obsada byłaby wyszła p. Lubieńskiej na dobre. W roli Hesi bowiem tak widomie czuła się nieswojo, taka była sztuczna i nieszczera, że występ ten zanotować musimy jako pierwszy nieudany. Po „Kredowem Kole", „Darze poranka" i „Śniegu" czynimy to z prawdziwym żalem. Natomiast wielce szczęśliwą okazała się ta śmiała obsada dla p. Jarkowskiej, która odsłoniła nieznany nam dotąd zakres swego talentu, wykonaniem roli Meli bowiem udowodniła, że potrafi odtworzyć postać dziewczęcia melancholijnego nie mniej dobrze, aniżeli swawolnego. Była to kreacja bardzo twórcza, niestety jednak nieco za tragiczna i przez to zbytnio odbijająca zarówno od tła, jak i od stylu sztuki. Nie mniejszą niespodzianką ze względu na charakter roli sprawiła nam p. Ziembińska, która jako Hanka zdobyła się na rysunek i ton zgoła doskonały. Była w tem żywiołowość i szczerość, które zarówno, jak brak wszelkiego melodramatyzmu, chlubnie świadczą o wszechstronności talentu i inteligencji tej artystki.

Bardzo wyrazisty p. Znicz, żywy i dobrze oddający swoisty bunt wewnętrzny p. Krotke, dyskretnie charakterystyczna p. Jakubińska i w miarę rubaszna p. Puchniewska dopełniali nader udanej całości.

Po drugim akcie zgotowano zasłużonej jubilatce piękną i zasłużoną owację. Wygłoszone do niej przemówienia nacechowane były serdecznem ciepłem i wielką bezpośredniością. Wyjątek w tem stanowiła tylko programowa mowa p. Kijowskiego, zawierająca apostrofy zarówno do historji, jak i do publiczności. A przecie najmniej zasłużyła na nie właśnie obecna na widowisku publiczność, stanowiąca kontyngent stałych i wiernych przyjaciół teatru, którzy przez swe spontaniczne manifestacje dali żywy wyraz swemu uznaniu sympatji i życzeniom dla utalentowanej artystki.

emb.

TEATRZYK ARTYSTYCZNY „GONG".

Wiele już było prób zorganizowania i utrzymania w Łodzi półscenki artystycznej, wszystkie jednak bardzo prędko kończyły się fiaskiem. To też, gdy przed kilkoma miesiącami otworzył swoje podwoje teatrzyk „Gong" w sali zlikwidowanego kinoteatru „Luna" — mało kto wierzył, by impreza ta utrzymała się dłużej niż kilka tygodni.

Wbrew tej opinji „Gong" trwa na stanowisku już kilka miesięcy i zdobył sobie przez ten czas tylu zwolenników, że egzystencja jego wydaje się na dłuższy czas zapewniona. Wolno nawet dzisiaj już spodziewać się, że placówka ta rozwinie się może w stały, artystyczny teatrzyk, jaki ze wszech miar potrzebny jest w Łodzi.

W zespole artystycznym „Gong" posiada kilka doskonałych sił (Skoneczny, Laskowski, Sielański, Wojnar, Cybulski). Nieco gorzej jest z kompletem kobiecym, ale tutaj dyrekcja radzi sobie dłuższymi gościnnymi występami sił zamiejscowych, starannie dobieranych.

Teatrzyk robi niezmiernie sympatyczne wrażenie i w każdym niemal programie widać bardzo dużo artystycznej pomysłowości kierownictwa. Niewątpliwie bardzo dużo do powodzenia teatrzyku przyczynia się zdolny dekorator, który dosłownie z niczego komponuje miłe dla oka dekoracje i troskliwie czuwa nad kostjumami, które w wielu wypadkach z powodzeniem zasłaniają drobne usterki zespołu baletowego.

„Gong" zasługuje rzetelnie na poparcie łódzkiej publiczności, posiada bowiem wszelkie zadatki rozwinięcia się w doskonałą, artystyczną scenkę. Byłaby wielka szkoda, gdyby dotychczasowe sympatje łodzian dla „Gongu" miały osłabnąć, bo nic lepszego w tym rodzaju Łódź jeszcze nie miała. Szczęśliwie jednak nie zanosi się na to, a gdy dzięki dalszej, dobrej frekwencji „Gong" stanie się zasobniejszy, wówczas egzystencja tej scenki będzie ostatecznie zapewniona.

TEATRY WARSZAWSKIE

Teatr Nowości. Nową rewję „Teatru Nowości", noszącą obiecującą nazwę: „Wszystko z miłości", należy uważać za bardzo udaną. Największą jej atrakcją jest trójka angielskich tancerzy Trio Manleys, niezrównana na w swych tańcach groteskowych, połączonych ze śpiewem. Ulubienica publiczności, urocza Zula Pogorzelska, zachwyca tym razem jako „maleńtas pirszej klasy" a sekunduje jej — może nieco za krzykliwa — pani Kozłowska. P. Sokołowska, kreująca postać głównej bohaterki rewji wykazuje coraz lepszą klasę. Dobrze bawią publiczność Gierasiński, Tom i Szczawiński.

„Girlsy", uzupełnione koleżankami z zamkniętej od dwuch miesięcy „Karuzeli", wykonują pod kierownictwem baletmistrza Koszutskiego szereg ewolucyj zupełnie składnie. Finały udane. Wystawa i dekoracje, zwłaszcza w „Raju dziecięcym", „Lampie z porcelany" i „Dumce żeglarza" bardzo piękne i pomysłowe. Reżyserja Jana Pawłowskiego sprężysta, kierownictwo muzyczne Z. Wiehlera, jak zwykle dobre.

Rewja ma zapewnione powodzenie.

A. W.

Z estrady koncertowej

BR. GIMPEL. NIEDZIELNY PORANEK. CLAUDIO ARRAU. STOSUNEK SŁUCHACZA DO MUZYKI KAMERALNEJ. ZESPÓŁ KWARTETOWY ONDRICKA.

Młodziutki skrzypek, Bronisław Gimpel jest to w swoim rodzaju fenomen, który jednak powinien być otoczony bardzo troskliwą opieką. Szumnie reklamowany, okazał się w istocie talentem z Bożej łaski, wykazał w grze swojej wrodzoną muzykalność rasowy sentyment, ale żywioł to jeszcze przez kulturę i dyscyplinę światową nie ugłaskany. Zbyt wczesne występy utrudniają wewnętrzny rozwój artystyczny p. Gimpla i krzywdzą jego talent, przyzwyczajając do wiary w zdobycze na technicznych wyłącznie sukcesach oparte.

Niedzielny poranek symfoniczny ze względu na program oraz osoby, biorące w nim udział, zasłużył na miano koncertu wielkiego. Usłyszeliśmy piękną trylogję „Trzy odwieczne pieśni" jednego z wybitniejszych synów Polski, przedwcześnie tragiczną śmiercią zgasłego twórcy - myśliciela, Mieczysława Karłowicza, którego serce wyrwały góry tatrzańskie i włoniły je w siebie; zabrały z powrotem to, co kiedyś czerpało z nich ducha i życie.

Wykonanie trylogji symfonicznej odznaczało się pełnią ogólnego brzmienia dzięki pewnej pałeczce gościa - dyrygenta, p. Jerzego Bojanowskiego, który ponadto prowadził czwartą symfonję Beethovena. Solista poranku, p. Claudio Arrau, znany nam już z wielokrotnych występów, okazał się tym razem świetnym tłumaczem lisztowskiego koncertu A-dur, do którego doskonale towarzyszyła mu łódzka orkiestra filharmoniczna.

Mniemanie, że muzyka kameralna jest „ciężkostrawną", jest przesądem, który należy zwalczać, podobnie jak ten, że muzykę trzeba „rozumieć". Uważamy umysł za siedlisko rozkoszy artystycznej z tego rzekomo założenia, że jeżeli umysł jest wytwórcą więc jest zarazem i spożywcą. Nic błędniejszego nad ten pogląd. Nie pozwalajmy, by rozum zabił w nas uczucie; wskrzeszajmy w sobie rzeczy słyszane, poruszmy je w sercu, wyławiając uszami duszy najpiękniejszą muzykę dopóty, dopóki nie zdołamy przekonać świata, że dziedziną właściwą muzyce jest serce, nie rozum, że nie on zdolen jest sam z siebie pojąć muzykę, lecz zadanie to spełnia wewnętrzny zmysł słuchu, który w wspomnieniu odtwarza dźwięk za dźwiękiem, zapełnia je duszą i wszelkiego rodzaju treścią wrażeniową! Słuchanie rozumowe już dlatego jest szkodliwe, że izoluje zmysł słuchu od innych zmysłów. Natomiast normalnemu słuchaniu towarzyszą inne wrażenia zmysłowe, którym rozumowanie wyznacza stanowisko obserwacyjne, podczas gdy z drugiej strony kojarzące się ze słuchem wrażenia zmysłowe stają na przeszkodzie rozumowaniu i muszą być wyłączone, jeśli pragniemy słuchać rozumowo. Gdy poddajemy się biernie działaniu muzyki, zjawiają się odrazu najrozmaitsze wrażenia zmysłowe, bo muzykę trzeba czuć, a nie pojmować.

Refleksje te nawinęły piszącemu te słowa po wysłuchaniu trzech kwartetów czeskiego zespołu Ondricka. Panowie Pekelsky, Wyskocil, Zahradnik i Jaros wykonali dzieła Suka, Mozarta i Dvoraka w sposób, który zwalnia słuchacza od wszelakiego rozumowania i daje mu możność delektowania się pięknem, zawartem w utworach. Oczywiście najlepiej czuli się wykonawcy w dziełach kompozytorów czeskich. Mniej do twarzy było tym młodym, pełnym temperamentu, artystom w skromnych szatach mozartowskiej muzy.

Feliks Halpern.

Książki nadesłane

Dr. med. Tadeusz Mogilnicki — lekarz naczelny szpitala Anny Marji dla dzieci w Łodzi — „SZPITALNICTWO DZIECIĘCE W POLSCE I JEGO ZADANIA" odczyt wygłoszony w Wilnie na III zjeździe pedjatrycznym polskim.

* * *

Z broszurki tej, starannie opracowanej dowiadujemy się, że szpitalnictwa dziecięcego w Polsce prawie że nie mamy, bo na 13.130 głów ludności przypada przeciętnie jedno szpitalne łóżeczko dziecięce. W siedmiu województwach: pomorskiem, białostockiem, nowogrodzkiem, poleskiem, wołyńskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem niema wogóle ani jednego szpitala dziecięcego.

Autor, wybitny i zasłużony działacz na polu szpitalnictwa dziecięcego kończy swój referat opinją, że w Polsce należy w szybkiem tempie budować szpitale dziecięce, aby dojść do europejskiej normy t. j. do jednego łóżeczka szpitalnego na 100 mieszkańców.

Rozumiejąc ten niezbędny warunek wydawcy ozdobili wydawnictwo kilkoma tysiącami ilustracyj tekstowych, mapami, kolorowemi tablicami ilustrowanemi, tablicami porównawczemi, reprodukcjami obrazów etc. Redakcja wydawnictwa usunęła ze wszystkich działów wiele balastu, utrzymywanego w encyklopedjach przez tradycję. Dopiero w codziennem używaniu tych pięciu tomów okaże się, czy nie pominięto rzeczy ważkich i czy zbytnia zwięzłość nie zaszkodziła tu i ówdzie ścisłości informowania. Wobec jednak naglącej potrzeby, która tak szybko i tak sprawnie zaspokojną została, przedsięwzięcie całe nabiera pierwszorzędnego znaczenia.

Wydawcy zdawali sobie znać sprawę, że przy zamknięciu całego zakresu dzisiejszej wiedzy ludzkiej w pięciu tomach, sprawy polskie — pomimo specjalnego uprzywilejowania — musiały być wyłożone nazbyt krótko. Zrodził się stąd naturalny wniosek, aby je ugrupować w wydawnictwie oddzielnem, monumentalnem, również w zeszytach ogłaszanem, a podającem całokształt rzeczy polskich w ciągłości historycznej i kulturalnej. I oto jeszcze przed zakończeniem „Encyklopedji" ukazują się pięknie wydane, bogato ilustrowane zeszyty dzieła p. t. *„Polska, jej dzieje i kultura* od czasów najdawniejszych, aż do chwili obecnej". Całość ma obejmować trzy wielkie tomy (około 2000 stronic), ozdobione planszami kolorowemi oraz 1500 ilustracyj tekstowych. Wydawnictwo zawiera zbiór monografij, opracowanych przez profesorów uniwersytetów: W. Antoniewicza, St. Arnolda, A. Brücknera, J. S. Bystronia, A. Chybińskiego, St. Dobrzyckiego, R. Grodeckiego, O. Haleckiego, Z. Jachimeckiego, J. Kallenbacha, St. Kutrzeby, W. Sobieskiego, A, Szelągowskiego, W. Tokarza oraz dyr. Muzeum Narodowego, F. Kopery i docenta Uniwersytetu Lwowskiego, M. Tretera. Ze względu na ryciny wydawnictwo wydrukowano na papierze dość dużego formatu (25 × 33 cm.). Monografje zą zwięzłe i jasne. Jeżeli wszystkie będą równie dobrze opracowane, jak te, które ukazały się w dotychczasowych trzech zeszytach, wydawnictwo odegra bardzo poważną rolę kulturalno-kształcącą.

* * *

Cicho, bez żadnych manifestacyj, ani publicznych, ani prywatnych przeszedł u nas fakt epokowego znaczenia kulturalnego. W końcu przeszłego roku wyszedł z druku ostatni zeszyt wielkiego *„Słownika języka polskiego"*, opracowanego przez Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwieckiego. Kolosalne to dzieło, wydane przez Kasę im. Mianowskiego, ogłaszane było częściowo (w tomach, a później w zeszytach) przez lat blisko trzydzieści, a opracowywane przez pół wieku. Po śmierci Karłowicza redakcję wydawnictwa objął W. Niedźwiecki, który ją prowadził już to przy pomocy prof. Króla, już to (przy ostatnich tomach) sam. O ilości włożonej w to dzieło pracy zaświadczy fakt, iż zawiera ono razem około 8000 stronic (osiem tomów po 1000 stronic), na których wyjaśniono około 300.000 polskich wyrazów literackich, archaicznych i gwarowych. Wszędzie w Europie takie monumentum, kulturze języka wystawione, stanowiłoby nietylko chlubę pokolenia, ale wielkie wydarzenie narodowe. U nas inaczej... O „Słowniku" Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwieckiego ogół społeczeństwa wie niewiele, a nabycie całości dzieła jest w tej chwili niemożliwe, niektóre bowiem tomy, odbijane w ilości niedostatecznej są wyczerpane i Kasa Mianowskiego zamierza je przedrukować dopiero „w miarę pozyskania na ten cel funduszów". Narazie więc nieliczni są ci szczęśliwcy, którzy zdołali kupować w porę pojedyńczo tomy i zeszyty. Niedawno otrzymałem od jednego z antykwarjuszów krakowskich katalog, w którem zażądano za ten „Słownik języka polskiego" ni mniej ni więcej, jeno 400 złotych! Monument jest więc w tej chwili niedostępny i nic nie pomoże zachęcający na nim napis: „Dzieło nagrodzone przez Polską Akademję Umiejętności na konkursie imienia Lindego i zalecone przez b. galicyjską Radę Szkolną do użytku szkół".

* * *

W ścisłym związku z tą imponującą pracą jest drugie, niedawno ukończone dzieło językoznawcze, a mianowicie *„Słownik etymologiczny języka polskiego"* (dwa tomy w jednym), opracowany przez znakomitego uczonego, genjalnego badacza języka i starej kultury polskiej, Aleksandra Brücknera. To także trud całego życia. Księga wspaniała, rewelacyjna dla każdego kogo interesuje istota języka ojczystego. Podając źródło i rozwój wyrazów, Brückner wyróżnia w swem dziele cztery doby historyczne: aryjską, litwo-słowiańską, słowiańską i polską, a po nich wpływy obce. Ile możności, ustala wiek słów, kiedy się po raz pierwszy w piśmiennictwie zjawiają. O starożytności języka świadczy fakt, że czwarta doba, polska, trwa dziś już lat półtora tysiąca. Obok wyjaśnień wyrazów, daje Brückner 26 rozpraw większych o treści ogólnej, omawiających takie sprawy, jak: bóstwa, bydło, członki i części ciała, dom, fauna i flora, imiennictwo osobowe, kalendarz, kruszce, kwiaty, miesiące, muzyka, nazwy miejscowe, ubiór, zboże, zbroja etc. „Słownik etymologiczny" stanowi nietylko księgę podręczną do sprawdzania tych lub owych źródłosłowów, ale sam przez się jest wysoce zajmującą, pełną niespodzianek lekturą, odsłaniającą dawne zwyczaje i obyczaje polskie. Weźmy pierwszy lepszy wyraz z brzegu: Całować. Komu przychodziło na myśl, że ten wyraz bardzo „codziennego użytku" pochodzi od wyrazu cały? Otóż w dawnej Polsce, przy pozdrawianiu mówiono sobie ceł (cały, zdrowy) i mężczyźni dotykali się ustami. Jeszcze Kochanowski tak Batorego pozdrawiał. W 16-tym wieku „całowanie" także mężczyzn uchodziło za barbarzyństwo ruskie, ale w 17-tym do tego wróciliśmy ponownie i do dziś zatrzymali; stąd nabrało wyrażenie całować nowego znaczenia całusa.

Z takich zwięzłych wywodów składa się ta księga znakomita, opowiadająca poprzez dzieje języka historję dawnych i pradawnych obyczajów polskich.

Jan Lorentowicz.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Arbiter czy prawodawca?

Mamy przed sobą dokument jedyny w w swoim rodzaju. Znaleźliśmy go w numerze 2 „Włókniarza" z dnia 15 lutego, a jest nim orzeczenie, wydane w dniu 28 stycznia r. b. przez p. Tadeusza Ulanowskiego, obdarzonego przez p. Ministra Pracy mandatem arbitra w sporze między robotnikami warszawskich fabryk firanek i tiulu, a zarządami tych fabryk. Przedmiotem sporu była wysokość płac, dla uzyskania podwyżki których część robotników strejkowała w przeciągu 14 tygodni.

Otóż istnieje ustawa sejmowa z dnia 16 maja 1922 r. o urlopach dla pracowników, zatrudnionych w przemyśle i handlu, Ta ustawa zapewnia pracownikom po 1 roku **nieprzerwanej** pracy prawo do urlopu 8-dniowego, a po 3 latach takiejże **nieprzerwanej** pracy do urlopu 15-dniowgo. Prawa tego w myśl artykułu 3 ustawy pozbawiają się robotnicy, którzy rozwiązali umowę pracy. Jednakże w myśl art. 7, w razie ponownego nawiązania takiej umowy w ciągu najbliższych 3 mies., przerwa w pracy nie skutkuje pozbawienia robotników prawa do urlopu. Ten ostatni przepis został dodatkowo jeszcze w drodze interpretacji wyjaśniony przez Sąd Najwyższy, który w dn. 20 grudnia 1923 r. orzekł, że „pracownik, z którym umowę pracy rozwiązano, w razie powrotu do pracy w temże przedsiębiorstwie po upływie trzech miesięcy, nie ma prawa do korzystania z urlopu przed upływem wskazanych w ustawie okresów, uprawniających do otrzymania urlopu, licząc je od dnia nowej umowy".

Mamy tu zatem do czynienia z wyjątkowo zdawałoby się jasnym przepisem prawa, skoro negatywne określenie ustawy jest jeszcze uzupełnione przez pozytywne wyjaśnienie Sądu Najwyższego.

Nietrudno jest wyobrazić sobie, jaki hałas powstałby na łamach prasy nietylko robotniczej, jakie załamywanie rąk nad bezprawiem i swawolą zatrzęsłoby gmachem Ministerstwa przy Placu Dąbrowskiego, gdyby jakiś przemysłowiec np. ośmielił się odmówić urlopu pracownikowi, któryby **po** przerwie 89 dni powrócił do pracy w jego fabryce. I, rzecz oczywista, niktby się nie mógł nawet pokusić o obronę takiego stanowiska, które jako sprzeczne z wyraźnym przepisem prawa, byłoby tem samem równie wyraźnem prawa tego pogwałceniem, czyli bezprawiem.

Innemi jednak kategorjami myśli pan arbiter. Korzystając w pełni z uzyskanego szerokiego zakresu władzy, postanawia („postanawiam"): „W stosunku do pracowników, dla których przerwa trwała dłużej, niż 3 miesiące i którzy wskutek tego w myśl art. 7 ustawy **utracili** prawo do korzystania z urlopu, postanawiam co następuje: a) w roku 1928 pracownicy ci będą korzystali z połowy urlopu, którym im przysługiwał normalnie; b) przerwa w umowie nie pociąga żadnych skutków w stosunku do prawa korzystania z urlopu w latach następnych".

Powstaje pytanie: czy ta kwestja była obok sprawy płac przedmiotem arbitrażu? Nie można dopuścić wątpliwości, że tak. Ale czy w takim razie nie było obowiązkiem arbitra uchylić się od rozstrzygania sprawy, zgóry rozstrzygniętej przez samo prawo? Mandat arbitra nie może wynosić nikogo ponad prawo samo, w takim razie bowiem prawa utraciłyby wszelką rację bytu i instancje prawodawcze nie miałyby co robić. Istotą arbitrażu jest właśnie suplowanie prawa w wypadkach, w których ono samo nie stwarza podstaw do decyzji. Przekroczenie tego zakresu jest uzurpacją i z taką właśnie spotykamy się w tym wypadku bezprzykładnie bezceremonjalnego zlekceważenia obowiązującego prawa przez urzędnika państwowego. Napisanie, że osobom, które z mocy ustawy pewne prawo utraciły, prawo to się własną kompetencją przywraca, i że się przekreśla przewidziane ustawą pewne następstwa pewnych okoliczności, a w dodatku wyraźne zacytowanie numerów tych przekreślonych artykułów prawa — już nietylko graniczy z cynizmem, ale stanowi najbrutalniejszy wyraz cynizmu.

P. Ulanowski na stołku arbitra tak dalece poczuł się ostatnią instancją prawodawczą, że nawet uznał za potrzebne w orzeczeniu swem potwierdzić, iż ci robotnicy, którzy na mniej, niż 3 miesiące przerwali pracę, w pełni z praw urlopowych będą korzystali, Ponieważ wynika to z samego prawa, przeto powstaje pytanie, poco pan arbiter jeszcze dodaje masła do masła? Kontrasygnaty ze strony autorytetu p. Ulanowskiego ustawy sejmowe podobno nie potrzebują. Zatem może obawa, by krnąbrni przemysłowcy nie złamali prawa? Ależ p. Ulanowski sam je przecie łamie w następnym ustępie swego werdyktu! Nie, tu chodziło porostu o to, by tanim kosztem zwiększyć swój dorobek popularności. Czy jednak jest to naprawdę tani koszt? Według zasad praworządności stanowi to równie jaskrawe przekroczenie atrybucyj, jak owo przekreślenie przepisu prawnego.

Z punktu widzenia tej praworządności i państwowej konieczności propagandy poszanowania prawa dekret p. Tadeusza Ulanowskiego uznany być musi za dokument nietylko swawolny, ale wprost wysoce szkodliwy i demoralizujący.

Kto nie dorósł do wielkich zadań, niech się ich nie ima. A niezaprzeczenie kompetencja jednoosobowego rozstrzygnięcia sporu między dwiema stronami, reprezentującemi poważne i szerokie interesy, należy do zadań wielkich. Jeżeli więc rozwiązanie zadania udowodniło, że myślą przewodnią arbitra było nie bezstronne ujęcie istoty sporu, lecz tylko własna wygoda, lęk przed niezadowoleniem jednej ze stron i osobista popularność, i że dla tych celów poświęcona została nietylko słuszność, ale nawet prawo, którego się jest wykonawcą i stróżem — to jasnym jest wniosek, że zadanie w niewłaściwe dostało się ręce.

P. Ulanowski dla schlebienia zagniewanym tkaczom chciał uderzyć w przemysłowców, gorzej jednak uderzył w zasadę praworządności, podważając jej podstawy jednem pociągnięciem pióra.

z. W.

Listy do „Prawdy"

JAKIE ŚRODKI NALEŻAŁOBY ZASTOSOWAĆ CELEM WZMOŻENIA KONSUMCJI TOWARÓW KRAJOWYCH NA RYNKU POLSKIM.

*

Odpowiedź na to pytanie, stanowiące przedmiot rozpatrywania w Min. Przemysłu i Handlu jest z punktu widzenia handlowego bardzo prosta: **Należy wzmóc umiejętną akwizycję.** Rozwiązanie tej jednak napozór prostej sprawy napotyka w naszych warunkach na niezliczone przeszkody.

Przedewszystkiem pozwolę sobie zauważyć, iż wyrażony w artykule „Prawdy" („O polskość i kulturę sklepów") pogląd, iż sklep powinien świadomie zachęcać klijenta do dania przewagi wyrobowi krajowemu nad zagranicznym, opiera się na tej... naiwnej przesłance, iż sklep wogóle jest miejscem propagandy społecznej, a nie terenem ściśle materjalnych interesów. Trzeba to sobie jasno i bez złudzeń, uprzytomnić, iż każdy sklep zaleca i zawsze zalecać będzie **przedewszystkiem to, co mu daje czy to lepsze warunki nabycia, czy większy zysk, czy też wogóle przynieść mu może pewne specjalne korzyści.** Czem więc zagranica zdobywa sobie zyski? **Umiejętną organizacją i propagandą sprzedaży.**

Na czem one polegają? Przedewszystkiem firmy zagraniczne dają wielką pomoc swoim sprzedawcom **w postaci umiejętnego zareklamowania towaru,** następnie kredytów, i rzecz najważniejszą: **wyłączność sprzedaży.** Każda zagraniczna firma, sprzedająca u nas, ma swego „pośrednika", który jej interesów pilnuje, gdyż jest on jej wyłącznym zastępcą. On sam i jego agenci docierają do dalszych ogniw sprzedaży i nie samą tylko ceną, lecz i różnymi specjalnymi lokalnymi warunkami, związanymi z danym rejonem sprzedaży, starają się o pozyskanie dla siebie sklepów, które zkolei dążyć będą do pozyskania klijenta-konsumenta. Nie potrzeba tłumaczyć korzyści jaką osiągnie kupiec „X" w mieście „Y", jeśli pewien, dobrze zareklamowany towar można będzie otrzymać tylko u niego. Nie chodzi tu nawet o możność uzyskania monopolowej ceny, lecz o sumę obrotów, która jest podstawą zysku.

I tu nasze warsztaty produkcji popełniają zasadniczy błąd. Olbrzymia większość naszych fabryk **dąży do otwierania własnych sklepów detalicznej sprzedaży,** widząc w tem dobry dla siebie sposób uzyskania gotówki za sprzedany towar z jednej strony, z drugiej zaś, chcąc zainkasować różnicę ceny między hurtem i detalem.

I tu tkwi właśnie przyczyna, iż kupiectwo, pozbawione możności sprzedaży tych artykułów krajowych, dądy i dążyć będzie do sprowadzania towarów zagranicznych. Jeśli fabrykant zagraniczny, uznaje za możliwe kredytować kupcowi-polakowi, dlaczego nie czyni tego fabrykant Polak? Tu jest właśnie szkopuł psychologiczny: — zazdrości on zysku „zbędnemu pośrednikowi". — Lecz czy aparat przezeń stosowany w tym celu, t. j. własny sklep detaliczny potrafi umiejętnie konkurować z poszczególnymi sklepami? Odpowiadam — nie. Przyczyną jest fakt, iż właścicielami sklepów są: „indywidualni" kupcy fachowcy, najlepiej się orjentujący w warunkach i wymaganiach swej klijenteli podczas gdy składami fabrycznymi zarządzają będący na pensji dyrektorowie, którzy schematycznie wypełniają dyktowane im przez centralny Zarząd polecenia. Który z tych dwuch sposobów jest skuteczniejszy, nie podlega chyba dyskusji — a w odpowiedzi na to pytanie tkwi zarazem zasadnicza odpowiedź na postawione w nagłówku niniejszego artykułu zapytanie.

Pozatem firmy zagraniczne **nie wahają się nigdy stosować swej produkcji do specjalnych nawet kaprysów rynku podczas gdy nasze fabryki żądają odbioru najbardziej im dogadzającej produkcji.**

Jest dużo dobrych artykułów krajowej produkcji, których na rynku ze świecą szukać trzeba, podczas gdy zagraniczne wprost same na każdym kroku się narzucają. To jest już jednak zasługa cichej, niewidocznej, lecz nieocenionej dla fabrykanta współpracy **akwizytora.**

Rola kupca jest w naszem zbiorowem życiu zapoznana. Konsument, producent i Państwo uważają go zasadniczo za „zbędnego pośrednika". Apeluje się do jego społecznego uświadomienia, lecz zapoznaje się jego współtwórczą z producentem rolę. W pszczelnym ulu, podczas gdy jedne pszczoły zajęte są stale produkcją na miejscu, inne wylatują daleko w poszukiwaniu surowca.

Rolę tych ostatnich w społeczeństwie wykonywać winni kupcy.

Tylko ścisła współpraca produkcji z kupiectwem przyczyni się do skutecznego zwalczania zagranicznej konkurencji.

Ryszard Chełmicki.

(Warszawa)

SPRAWY ROBOTNICZE I EMIGRACJA

(Dane zaczerpnięte z urzędowego „Biuletynu Urzędu Emigracyjnego").

STATYSTYKA EMIGRACJI.

W listopadzie 1927 r. wyjechało ogółem 6.717 osób. Z liczby tej do krajów Europy wyemigrowało 1828, do państw pozaeuropejskich 4889. Największe cyfry emigracji przypadają na Francję — 1194 os., Niemcy 368, Argentynę 2708, Stany Zjedn. Ameryki Półn. 893, Kanadę 585, Brazylję 318. Reemigrację charakteryzują następujące cyfry: ogółem powróciło do kraju 12.790; z krajów europejskich 12.296, z czego większość stanowi reemigracja z Niemiec, wywołana zakończeniem sezonowych robót polnych; z krajów pozaeuropejskich 494.

* * *

FRANCUSKA STATYSTYKA IMIGRACJI.

Według danych francuskiego ministerstwa pracy w czasie od 1 listopada 1926 r. do 26 listopada 1927 roku przybyło do Francji 78.677 cudzoziemskich robotników, z których 47.716 znalazło zatrudnienie w rolnictwie, 13.161 w przemyśle i handlu. Wyjechało z Francji w wymienionym okresie 10.436 robotników obcokrajowców. Zarówno wśród przybywających, jak i wyjeżdżających największy kontyngent stanowią polacy i włosi.

* * *

PŁACE ROBOTNICZE W ANGLJI.

Ogłoszona przez Związkowy urząd pracy statystyka płac robotniczych za rok 1926 ustala, iż płace dniówkowe dorosłych robotników w przemyśle i rzemiośle wzrosły przeciętnie o 106 do 108 procent w porównaniu do płac z roku 1913. Jeśli przyjąć pod uwagę, że koszty utrzymania wyższe są od przedwojennych o 62 proc., należy uznać, iż siła nabywcza klasy robotniczej podniosła się o 27 do 28 procent. Płace realne robotników młodocianych wzrosły o 13 procent.

BILL O PENSJACH DLA STARCÓW W AMERYCE

Do ciał ustawodawczych wniesiono projekt ustawy, która przewiduje płacenie pensyj starcom obojga płci powyżej lat 70, nieposiadającym środków utrzymania. Pensja ma wynosić 250 dol. rocznie, przyczem trzecią część związanych z tem wydatków pokrywałby rząd federalny, resztę władze właściwego stanu.

* * *

RUCH MIGRACYJNY W PALESTYNIE. WZMOŻONA REEMIGRACJA I JEJ PRZYCZYNY.

W trzecim kwartale 1927 r. przybyło z Polski do Palestyny 235 obywateli polskich, w poszczególnych zaś miesiącach następująca liczba:

w lipcu 83 os.
w sierpniu 61 os.
we wrześniu 91 os.

W kwartale trzecim 1926 roku przybyło do Palestyny 1023 emigrantów z Polski, czyli cztery razy więcej, niż w tym samym czasie roku 1927. Spadek ten spowodowany jest ograniczonemi możliwościami dostarczenia pracy nowoprzybyłym. W omawianym okresie, jak i w poprzednich, odbywał się stosunkowo silny ruch powrotny do Polski. W miesiącu lipcu powróciło do Polski 231, w miesiącu sierpniu 283, we wrześniu 279, ogółem w trzecim kwartale 1927 r. 793 osoby. Główną przyczyną powrotu emigrantów polskich do kraju jest przeciągający się kryzys gospodarczy w Palestynie. Niemożność znalezienia pracy zmusza emigrantów do powrotu do Polski. Złe warunki gospodarcze nie pozwalają rządowi palestyńskiemu na wydawanie emigrantom zezwoleń na przyjazd. Według ostatnich wiadomości rząd palestyński postanowił nie wydawać w ciągu 12 najbliższych miesięcy żadnych pozwoleń imigracyjnych na wjazd do Palestyny. Celem tego zarządzenia ma być zapobieżenie dalszemu kryzysowi oraz zmniejszenie w ten sposób bezrobocia.

* * *

KOMUNIKAT W SPRAWIE IMIGRACJI DO FRANCJI.

Francuskie ministerstwo pracy wydało komunikat, z którego wynika, że cudzoziemiec, który przybywa do Francji w celu wykonywania pracy zarobkowej, winien okazać na granicy umowę o pracę, zaświadczoną przez min. pracy, względnie przez min. rolnictwa oraz świadectwo o stanie zdrowia, wystawione przez lekarza wyznaczonego przez władze francuskie. Jeśli cudzoziemiec nieposiadający powyższych dokumentów wprowadzi w błąd władze graniczne przez utajenie właściwego celu swej podróży, nietylko nie otrzyma karty tożsamości, uprawniającej do pobytu we Francji i wykonywania zawodu, lecz może być narażony na wydalenie z granic kraju. Pracodawcy zaś, którzy zaangażują takich pracowników, podlegają karze w myśl ustawy z dnia 11 sierpnia 1926 r., przewidującej grzywnę od 500 do 1000 frs. Zarządzenie to ma na celu zabezpieczenie krajowego rynku pracy i ochronę zdrowia publicznego.

* * *

AKCJA PRZECIWKO EMIGRACJI KWALIFIKOWANYCH SIŁ ROBOCZYCH W CZECHACH.

Stale wzrastająca liczba emigrantów, rekrutujących się z szeregów kwalifikowanych robotników, spowodowała, iż sprawą tą zajęły się zarówno sfery rządowe, jak i koła przemysłowe, starające się wszelkiemi siłami znaleźć skuteczny sposób wstrzymania tego ruchu wychodźczego. Emigracja kwalifikowanych sił roboczych pociąga za sobą znaczne straty dla przemysłu czechosłowackiego, przy pomocy bowiem tych robotników powstają zagranicą nowe przedsiębiorstwa przemysłowe, które wyrabiają artykuły, dotychczas przeważnie sprowadzane z Czechosłowacji. O szybkim rozwoju przedsiębiorstw, zakładanych zagranicą przy pomocy robotników czeskich, świadczy fakt, że szwedzki przemysł szklany przedstawił na wystawie dekoracyjnej w Paryżu wyroby, które przewyższały nawet eksponaty czechosłowackie. Kompetentne sfery czechosłowackie są zdania, że poza szkodami, jakie stąd płyną dla przemysłu krajowego, sami emigranci również nie ciągną z przeniesienia się zagranicę stałych korzyści, ponieważ po nauczeniu zagranicą robotników miejscowych sami bywają z zasady bądź wydalani, bądź też pozbawiani specjalnych uposażeń i płaceni narówni z robotnikami krajowymi.

Rynek pieniężny i giełda

Rynek akcyjny pozostawał w tygodniu ubiegłym nadal pod znakiem tendencji mocnej. Kursy po silnej zwyżce z poprzedniego tygodnia, utrzymywały się przeważnie na poziomie stałym. Wyraźnie słabe usposobienie miał jedynie Bank Polski, co przypisać należy dość wysokiemu podniesieniu jego kursu przed Walnem Zebraniem. Sfery giełdowe uważają, że Bank Gospodarstwa Krajowego nie dopuści do dalszego obniżenia kursu akcji Banku Polskiego, gdyż przygotowuje zdaje się teren dla wypuszczenia na rynek drugiej emisji tych akcyj, którą przejął w swoim czasie po kursie 150. Akcje Banku Polskiego notowane są od 11 lutego b. m. bez kuponu za rok 1927, za który wypłaca się 14 zł. od akcji. Bardzo mocną tendencję miały w grupie elektrycznej w dalszym ciągu „Siła i Światło" i „Elektrownia Dąbrowiecka" wskutek poważnych zleceń ze strony zagranicy, zwłaszcza Belgji. Akcje „Siła i Światło" notowano bez kuponu dywidendowego za rok 1927, za który to kupon wypłaca Towarzystwo 4 zł. Największa ilość transakcyj przypadała w okresie sprawozdawczym na grupę metalurgiczną, w szczególności „Starachowice", „Modrzejów", Ostrowieckie, Lilpopy, Rudzki i Pocisk oraz akcje Warszawskiego Tow. Kopalń Węgla i akcje Warszaw. Tow. Fabryk Cukru. Wszystkie wyżej wspomniane papiery nabywane były nadal przez grupę złożoną z czterech banków warszawskich, która odpowiednio regulowała kursy, niedopuszczając do większego spadku lub zbyt wybujałej zwyżki. Silną „haussę" na „W. T. Fabryk Cukru" tłumaczą spekulanci mającem wkrótce nastąpić objęciem większej części portfelu akcyjnego tego Towarzystwa przez poważny koncern holenderski.

Listy zastawne miały tendencję niejednolitą. Pożyczki państwowe oprócz 5-proc. Premjowej Pożyczki Dolarowej, która ulegała znaczniejszym wahaniom — zmian naogół nie ujawniły.

Obroty na giełdzie dewiz były dość znaczne. Całe zapotrzebowanie pokrywał prawie wyłącznie Bank Polski. Silny odpływ walut i dewiz z instytucji emisyjnej, który wyniósł w styczniu r. b. przeszło 50 milj. złotych łączy się ściśle ze stałą od szeregu miesięcy pasywnością naszego bilansu handlowego. Bilans handlowy za styczeń wykazał znowu saldo ujemne tym razem jednak mniejsze, aniżeli w grudniu r. ub. Saldo to wyrażało się w styczniu kwotą 52.729.000 zł., albowiem przywieziono ogółem 354.350 tonn wartości 271.166.000 zł., wywieziono zaś 1.790.754 tonn wartości 218.437.000 zł. Przywóz w styczniu zmniejszył się o 4.173.000 zł., natomiast wywóz zwiększył się o 3.006.000 złotych.

Bilans Banku Polskiego za pierwszą dekadę lutego ujawnił pod względem pokrycia kruszcowo-walutowego — pewną poprawę. Zapas kruszcu zwiększył się bowiem o 75.873 do kwoty 529.180.632, a zapas walut i dewiz o 2.766.994 do kwoty 639.586.426 złotych. Obie więc te pozycje razem, stanowiące pokrycie obiegu banknotów i natychmiast płatnych zobowiązań, wyrażały się w dniu 10 lutego b. r. kwotą, złotych 1.168.767.058. Waluty i dewizy nie zaliczone do pokrycia, wzrosły w pierwszej dekadzie lutego o 6.471.194 do 206.735.547. Portfel wekslowy zwiększył się o 8.309.330 do 469.012.690 zł., a pożyczki zabezpieczone papierami wzrosły o 1.9 do 43.5 miljonów złotych. Natychmiast płatne zobowiązania wzrosły o 59.5 do 696.7 milj., natomiast obieg biletów bankowych zmniejszył się o 15.2 do 988 milj. Łączny stan obu tych pozycyj wynosił dnia 10 lutego 1.684.782.409 zł. (wzrost o 44.299.549 zł.). W stosunku do obiegu banknotów oraz natychmiast płatnych zobowiązań pokrycie kruszcowo-walutowe wynosiło w dniu 10 lutego 69.37 proc., gdy w dniu 1 lutego 71.07 proc. Samo pokrycie złote stanowiło 31.25 proc.

Dolarów w gotówce w tygodniu sprawozdawczym oficjalnie nie notowano. Dewizy na New-Jork utrzymywały się na stałym poziomie 8.90. Bank Polski płacił za dolary 8.86, za dewizy 8.88. Transakcje wpłatą telegraficzną na New-Jork robiono na 8.91 i pół do 8.91¾. W obrotach prywatnych płacono za dolary przeważnie 8.88 i pół. Transakcje rublami złotymi przeprowadzano przy minimalnym popycie na 4.66 do 4.66 i pół.

W grupie dewiz europejskich osiągnął większą zwyżkę Londyn, wskutek swej mocnej tendencji na rynkach wszechświatowych. Główniejsze pozycje Banku Angielskiego przedstawiały się na dzień 1 lutego b. r. w funtach szterlingów następująco: zapas złota 155.877.928, weksle rządowe 35.258.288, weksle prywatne 55.027.452, wkłady państwowe 14.341.039, prywatne 97.582.865, obieg banknotów 135.835.635, rezerwa absolutna 39.792.293, rezerwa stosunkowa 35 i pół proc. Główne pozycje bilansu Banku Francuskiego na dzień 9 lutego b. r. wyrażały się w tysiącach franków poniżej podanemi cyframi: złoto w kasie 3.679.510, zagranicą 1.864.321, portfel wekslowy 1.466.119, pożyczki na rzecz państwa 22.800.000, na rzecz państw obcych 5.906.000, wkłady prywatne 8.830.706, obieg banknotów 58.268.557.

W środku tygodnia notowano na giełdzie Warszawskiej następujące kursy: Londyn 43.47 i ćwierć, Paryż 35.06, Zurych 171.49, Praga 26.41 i ćwierć, Stokholm 239.30, Medjolan 47.25, Wiedeń 125.55, Gdańsk 173.75, Berlin 212.80 (dwie ostanie dewizy w obrotach międzybankowych).

Awil.

Kronika gospodarcza

CENY NA RYNKU ŚWIATOWYM.

w tygodniu od 9-go od 15-go lutego 1927 oku
(w okresie sprawozdawczym przeciętny kurs funta angielsk. = zł. 43.56).

	9. II.	15. II.
BAWEŁNA:	pensy	ang.
Middling amer.	10.10	10.25
Middling na termin	9.50	9.70

Patrz art.: „Sytuacja na rynku bawełny".

PRZĘDZA BAWEŁNIANA:	pensy	ang
Amerykańska 32"	15¼	15¼
Egipska 60"	27	27

WEŁNA:	pensy	ang.
Merino najwyższy gat (prana) za funt ang.	55	55
Merino najwyższy gat. (brudna) za funt ang.	48	48
Crossbread przedni za funt ang.	46	46
Crossbread średni za funt ang.	33	33

Tendencja mocna, notowania w wyższych gatunkach utrzymane.

TOPSY (czesanki):	pensy	ang.
Przednie merino 70"	57	57
Dobre merino 64"	54	54
Cienkie Crossbread	41	42

W Bradfordzie popyt na szewiot jest dobry zwłaszcza dla południowej Ameryki i dla kontynentu.

JUTA:	funty	ang
Przedni gat. za tonnę	30	30

Ceny na dostawę terminową są zachęcające. W Indjach mała zmiana, w Londynie interes lepszy.

MĄKA:	szyl	ang
przednia pszenna kanadyjska za worek (40 funt. ang.)	21.3	21

Mówią o transportach po sensacyjnie niskich cenach, wskutek czego młynarze chcą się pozbyć zapasów. I tak jest w drodze australijska mąka po 17 sz. 6 p. za worek, z Nowego Jorku po 19 sz., kanadyjska po 18 sz. 3 p.

ZBOŻE:	szyl	ang
jęczmień za centnar angielski	11.6	11.6
owies za centnar angielski	10.9	11

Londyn kupuje teraz indyjski owies po 27 sz. za 320 funt., rosyjski po 30 sz. za 336 funt. Dobry popyt panuje na jęczmień z Algieru po 39 sz. za 400 ft.

RYŻ:	funty	ang
Karolina za tonnę	34.10	34.10
Burma za tonnę	14.15	14.15

Ceny są stałe.

JAJA:	szyl.	ang
za wielką setkę (120 sztuk)	21	19

Spadek cen jest znaczny i grozi zniechęceniem przemysłu krajowego.

CUKIER BURAKOWY:	szyl.	ang
kryształ za centnar (bez podatku)	13.9	13.9

Ceny cukru stoją pod wpływem konkurencji, a zniżka spowodowała szybką wysyłkę z Kuby, Brazylji i Peru.

ŻELAZO (lane):	szyl.	ang
Nr. 1 za tonnę	67½	67½
Nr. 3 za tonnę	65	65

Ceny niezmienione.

CYNK:	funty	ang
Płyty za tonnę	35.05	35.05
Sztaby za tonnę	26	26

Kanadyjska produkcja cynku w 1927 r. wzrosła o 12 milj. funtów. Ceny nie są bardzo zachęcające, aczkolwiek cena sztab jest o Ł 3.10 sz. niższa niż w lutym zeszłego roku.

CYNA:		
Standard za tonnę	250	240

Osłabienie cen cyny jest bez odpowiedniego wytłumaczenia. Przeciętna dzienna sprzedaż odpowiada zapasom jawnym. Mogłoby być, że są zapasy nie ujawnione.

OŁÓW:	funty	ang
za tonnę	22.10	21

W 1927 r. Kanada wyprodukowała 140.000 ton ołowiu, wartości coś ponad Ł 3 miljony.

CENY BAWEŁNY w New-Yorku:	cent. amer.
loko	18.70 — 18.45
na maj	18.35 — 18.07
na lipiec	18.41 — 18.14
na październik	18.22 — 18.—
na grudzień	18.21 — 17.97

WĘGIEL: Za tonnę fob	szyl. ang
najlepszy gruby	19 — 19.6
secunda	18.6 — 19
zwyczajny	17.6 — 18.6
drobny	13.3 — 13.6
brykiety	22.6 — 24
koks (wedł. jakości)	25 — 37.6

Ponowne burze znowu wstrzymały lekką poprawę, która ostatnio zaznaczyła się w zagłębiu walijskiem. Mnóstwo statków opóźniło się ze swemi zobowiązaniami o tydzień lub dwa, a wiele z nich, przybywając z podróży zmuszonych jest udać się do suchych doków celem naprawy. Skutek jest ten, że nastąpiła dalsza zwłoka z dostawą, a właściciele kopalń, mając wielkie zapasy węgla, którego nie mogą załadować, zmuszeni są unieruchomić szyby. — Eksport nieco się podniósł w porównaniu z ostatnim poziomem, zarówno co do wysyłki, jak i zaopatrzenia statków paliwem, ale naogół wynosi tylko nieco ponad 400.000 ton na zagłębie, z czego wynika, że cały obrót nie osiąga 3/4 ilości, potrzebnej dla regularnego zatrudnienia zagłębia. Nie zaznacza się poprawa w cenie grubych gatunków, ale mimo niekorzystnych warunków, sprzedawcy zdołali uniknąć dalszego spadku ceny. Drobne gatunki zwłaszcza lepsze, są nawet mocne w cenie.

SYTUACJA NA RYNKU BAWEŁNY.

W ciągu tygodnia rynek w Liverpoolu zwyżkował o 20 punktów, a Nowy Jork wykazywał zwyżkę przez całe sześć dni. Jest to naturalnie dla interesu korzystnym momentem, co ujawniło się w Manchesterze, gdzie przędza była mocniejszą, a popyt na materjały lepszy. Również i w Nowym Jorku popyt na materjały był bardziej ożywiony.

Innym korzystnym objawem tygodnia był fakt zakupna amerykańskiej bawełny przez Bombaj. Tranzakcje te osiągnęły 35.000 bel.

Narodowy związek producentów nawozów sztucznych ustalił, że sprzedaż azotniaków w ubiegłym miesiącu, aczkolwiek większa, niż w odpowiednim miesiącu zeszłego roku była znacznie mniejsza, niż w poprzednich normalnych latach.

Co do nowych zbiorów, to uwaga przedewszystkiem skupiona jest na kwestji powiększenia obszaru pod uprawę bawełny. Rząd amerykański czyni wszelkie wysiłki, by odradzić amerykańskim farmerom powiększanie obszarów uprawnych. Przypuszczają, że jeżeli ceny amerykańskie będą obracały się około 17 centów w czasie zasiewów, obszar pod uprawę nie będzie prawdopodobnie znacznie powiększony. Zwiększenie wynosiłoby w całym rejonie około 5 proc.; gdyby jednak cena doszła do 19 centów, powiększenie obszaru doszłoby do 10 proc. Z N. Jorku donoszą, że prezydent Coolidge polecił kongresowi, by wyasygnował departamentowi rolnictwa dol. 400.000.— na cele zwalczania niebezpieczeństwa, grożącego przez zagnieżdżenie się owadów we wschodnim Texas.

Co do ukształtowania się cen, należy jednak przypuszczać, że potrzebną będzie w przyszłym sezonie ilość przynajmniej 15.000 bel. Dlatego, jeżeli będzie obszar tylko o 5 proc. zwiększony, i owady wyrządzą znaczne szkody, wtedy dla osiągnięcia takich zbiorów konieczna będzie bardzo korzystna pogoda. Dlatego nie można przesądzać kwestji niskich cen, aż zbiory w minimalnej ilości 15.000 bel nie będą zapewnione.

MS.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Koncern filmowy Paramounta publikuje interesujące zestawienie swoich wpływów brutto z interesów zagranicznych w roku 1927. Ogółem koncern ten w roku ubiegłym pobrał z interesu zagranicznego 11,48 miljonów dolarów, przyczem dochody z interesu kanadyjskiego nie są włączone. Statystyka, sporządzona według języka napisów na filmach, wykazuje następujące dochody w tysiącach dolarów: język angielski 6,344, hiszpański 1,480, francuski 723, niemiecki 714, japoński 271, włoski 176, rosyjski 45.

* * *

Towarzystwo Rolls-Royce w Ameryce, oddział znanego angielskiego przedsiębiorstwa samochodowego Rolls-Royce'a, nie wypłaciło dywidendy kwartalnej. Towarzystwo uzasadnia swój krok tem, że zmiany, konieczne dla produkowania nowego modelu, silnie nadwyrężyły jego środki obrotowe, nadto, że w ostatnim czasie produkcja spadła dość znacznie.

* * *

Amerykański departament handlowy ocenia wysoko produkcję nafty w r. 1927. Według jego oceny, produkcja ta wynosiła 1254 miljonów baryłek wobec 1098 miljonów w r. 1926, a więc o 156 milj. baryłek więcej, czyli o 14 proc. Stany Zjednoczone osiągnęły produkcję 905, 8 milj. baryłek, czyli 70% produkcji światowej. W Meksyku produkcja spadła z 90,4 na 60,2 milj. baryłek. Kolumbia produkcję swoją więcej, niż podwoiła.

* * *

Rząd angielski przygotowuje regularną publikację indeksu produkcyjnego dla Wielkiej Brytanji. Według wiadomości departamentu handlowego, podstawą obliczenia tego ciekawego indeksu mają być cyfry produkcji ważniejszych angielskich gałęzi przemysłu. Cyfra przemysłowej produkcji będzie każdorazowo obliczona na okres 3-ch miesięcy i z możliwem przyśpieszeniem opublikowana.

* * *

Według wiadomości z Paryża, Bank Narodowy Rumuński postanowił przy okazji Walnego Zebrania akcjonarjuszów, mającego się odbyć w miesiącu lutym, oficjalnie zakomunikować, że rząd rumuński zdecydował się stabilizować walutę na podstawie obecnego kursu. Odpowiadałoby to stabilizacji po nieco mniejszej. niż 3,2 proc., wartości przedwojennej.

* * *

Ogólny komitet związku przędzalników angielskich przyjął na nieoficjalnem posiedzeniu rezolucję, w której uchwalono robotnikom przędzalń, przerabiającyh bawełnę amerykańską, wymówić na miesiąc będącą w mocy umowę o płacy i czasie pracy i zaproponować nową umowę, która, jak poprzednio zamierzano, obniży płace o 12 proc., a czas pracy podwyższy z 48 na 52¼ godzin tygodniowo. Wymówienie oficjalne jeszcze nie nastąpiło. Równocześnie jednak przędzalnie, przerabiające egipską bawełnę, komunikują, że do rezolucji tej nie przyłączyły się. Wątpliwem jednak jest, czy rezolucja ta natychmiast zostanie wprowadzona w życie. Uchwała związku przędzalników była nadzwyczajną niespodzianką. Właśnie w ostatnich dniach jeszcze ogólnie się spodziewano, że związek zrezygnuje ze swoich żądań co do płac i czasu pracy i że przez to uniknie się dla przemysłu tak niekorzystnego konfliktu. Związki zawodowe zapowiadają najostrzejszą opozycję.

KALENDARZ - PODRĘCZNIK „KUPCA".

Ruchliwe Towarzystwo wydawnicze „Kupiec" w Poznaniu, wydające szereg fachowych perjodyków, poświęconych różnym dziedzinom handlu, wydało niezwykle praktyczny kalendarz - notatnik na rok 1928. Po raz pierwszy kalendarz taki ukazał się w roku ubiegłym. Tegoroczny kalendarz jest jeszcze lepiej opracowany od zeszłorocznego i zawiera jeszcze więcej praktycznych informacyj.

Zgóry należy zaznaczyć, że kalendarz - notatnik „Kupca" w niczem nie przypomina wydawnictw podobnych, od których roi się na rynku, a które wydawane są jedynie dlatego, że wydawca pragnie w łatwy sposób zarobić na ogłoszeniach.

Kalendarz „Kupca" jest w pełnem tego słowa znaczeniu nieocenionem wydawnictwem dla każdego kupca i przemysłowca. Zawiera bowiem prawdziwą skarbnicę informacyj, począwszy od taryfy pocztowej, a skończywszy na tablicy skrótów, powszechnie używanych i adresach polskich placówek konsularnych zagranicą. Niema chyba pytania z zakresu spraw i interesów kupca, na które nie byłoby odpowiedzi w tym kalendarzu. A wszystkie informacje starannie opracowane, uwzględniające ostatnie zmiany. Istniały u nas takie wydawnictwa kiedyś przed wojną — posiada je w obfitości zagranica — należy się doprawdy cieszyć, że pojawiają się wreszcie w niepodległej Rzeczypospolitej.

Adres wydawnictwa: Towarzystwo Wydawnicze „Kupiec" w Poznaniu.

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE.
nakładem Głównego Urzędu Statystycznego.

Ukazał się zeszyt 3 Wiadomości Statystycznych na treść którego w poszczególnych działach złożyły się między innemi następujące zestawienia, obejmujące aktualne dane z życia gospodarczego Polski:

Wytwórczość i wywóz gazoliny. Produkcja spirytusu. Stan zasiewów ozimych w stopniach. Przemysł włókienniczy — uruchomienie wrzecion i krosien w większych zakładach. Handel zagraniczny surowcami, półfabrykatami i wyrobami gotowymi w m. grudniu r. z. Handel Zagraniczny Polski produktami rolnemi. Przewóz towarów na kolejach w m. grudniu r. z.

Ruch pocztowy, telegraficzny i telefoniczny w ważniejszych miastach. Ceny hurtowe i detaliczne w Polsce i zagranicą. Bezrobocie. Zatrudnienie w górnictwie, hutnictwie, przemyśle i na robotach publicznych i w przemyśle przetwórczym. Zatrudnienie i stan zamówień w niektórych rodzajach przemysłu przetwórczego. Płace zasadnicze robotników w 1925, 1926 — 1927 roku. Kursy dewiz oraz kursy papierów procentowych i akcyj na giełdzie warszawskiej. Wydatki i dochody kolei Państwowych. Zamknięcie rachunkowe gmin wiejskich, województw południowych w III kwartale 1927 roku. Najważniejsze choroby zakaźne zarejestrowane w/g tygodni. Całość zeszytu dopełniają wykresy i przeglądy międzynarodowe.

List z Algieru

Powódź. — Spustoszenia. — Hymn o wiośnie w styczniu. — Pociąg do natury. — Smutne przygody Polaka.

Rok zeszły odszedł do wieczności i chwała Bogu! Nie będą go algierczycy dobrze wspominali. Przed samem bowiem swem odejściem w grudniu, zabrał im dobry miljard. Niewidziane nawet tutaj ulewy, trwające około dni piętnastu, spowodowały wylewy rzek, zdemolowały ogromne baseny, w których przechowuje się olbrzymie zapasy wody na czas posuchy, gdy przez pół roku, od kwietnia do października, nie spada ani kropla deszczu, i poczyniły wiele innych spustoszeń. Prawdziwy obraz nędzy, rozpaczy i spustoszenia na całem wybrzeżu od Algieru do Oranu, na przestrzeni czterystu kilometrów. Rozpętany żywioł wody zmiatał do otchłani rozszalałego morza gmachy i budynki, mosty, ludzi, bydło, zasiewy. Proste, suche, kronikarskie opisy tego, co się działo i stało, przejmuje zgrozą i wywołuje nader smutne medytacje, jak nikłe są wszelkie zabiegi ludzkie, aby przy pomocy techniki uchronić się od kataklizmów przyrody. Dwa lata temu trzęsienie ziemi pozostawiło stos gruzów i kamieni tam, gdzie były kwitnące kolonje, potem śmiertelny oddech Sahary wypalił roślinność, wydusił ludzi i zwierzęta, a teraz powódź. Gdy to piszę, widzę przez wielkie okna mego laboratorjum na stacji badań leśnych ten biały Algier, tonący w zieleni i kwiatach, spokojne, błękitne, osłonecznione morze, łagodne w swym złotym uśmiechu, jak dziecię. A onegdaj w nocy, kiedy spadła nań burza, wyło i ryczało, jak bestja z apokalipsy — stacja drżała, tak biło o brzegi, a huk był chwilami jak z armat.

Gorące afrykańskie słońce poszarpało czarne chmury i obficie zmoczona ziemia przystroiła się w wiosenne szaty, jakich nie zna poczciwa staruszka Europa. I to kiedy? Na początku stycznia. Bodaj tylko badawcze oko przyrodnika, uzbrojone w lupę, rozpoznaje o tej porze w Polsce życie gdzieś pod wodą, gdzie śpią muszki i owady. Nawet senna olcha obudzi się dopiero za miesiąc i przystroi się baziami. A tu... kwitną drzewa kwieciem różowem, a wielkiem jak maki, błękitnymi kielichami, złotymi wielopłatkowymi, jak róże. Białymi i bladoróżowymi kwiatami odziały się migdały. Kwitną krzewy i ziela, które już zaczyna głuszyć gęsta i soczysta młoda trawa. Chłody nam tu nie dokuczają. Średnia temperatura roczna wynosi tu 16 do 17° C. Najchłodniejsze miesiące, t. j. listopad i marzec mają przeciętną 8° C. Najgorętsze lipiec, sierpień 31 do 32° C. To też każdy, kto może opuszcza Algier na lato. Okna i drzwi domów szczelnie pozamykane, ruch na ulicach bardzo słaby, nawet ptaki znikają, udając się gdzieś w góry lub tulą się do morza.

Zato teraz życie tętni w całej pełni. Podniosły się zasłony u okien: białe kamienice rozwarły oczy... i usta, bo i drzwi szeroko pootwierane. Balkony pełne kwiecia, wszędzie gwarno, roje ludzi, sznury samochodów turystycznych, przepełnionych amerykanami i anglikami. Wszystko to w charakterystycznych podróżnych strojach, uzbrojone w wielkie okulary, z lornetami i aparatami do fotografji. Jadą w góry Atlasu, które na widnokręgu bieleją śniegiem, jak głowy cukru — jadą na Saharę, do Biskry, jej progu, gdzie obfite pęki daktyli zwisają z palm, o których arabowie mówią, że mają nogi w wodzie, a głowę w ogniu. Bo też w lecie termometr wskazuje w cieniu 45° C.

Złota rzeka dolarów i szterlingów płynie. Bo też tylko oni, ci zamorscy goście, mogą płacić 300 fr. na dobę za pensjonat w luksusowych hotelach. Dla nich tuczą się cielęta na wonnych łąkach Francji, dla nich karmią indyki orzechami, dla nich te pięknie wystrojone wystawy magazynów, szampany, banany, ananasy. Dla biednych złoci słońce pomarańcze i mandaryny, a sprzedają je po sou (dwa grosze) araby w łachmanach.

— Wejdę na szczyty Dżenardżentu, nazwę twe imię słońcu...

Włoska pisarka Deledda, nagrodzona w roku ubiegłym nagrodą Nobla, wyśpiewała w swym „Popiele" cudowny hymn niebotycznym górom, dzikim skałom, górnym pastwiskom rodzimej Sardynji, wszechpotężnej Naturze, co woła do siebie oczy i uzdrawia, z którą związani jesteśmy na zawsze nierozerwalnymi więzami, z której powstaliśmy, do której powrócimy jako popiół...

Na pół dziki arab, powracający do stanu pierwotnego w Górach Atlasu i inteligent mieszczuch, opuszczając Algier w lecie, aby spędzić w górach, w namiocie, parę miesięcy, czują jednakową potrzebę, by oczyścić powietrzem górskiem płuca i krew od wyziewów miasta, dać nerwom odpoczynek od osławionej kultury. Słusznie ktoś zaznaczył, że wszystko co szarpie nam nerwy, jest związane z głosem ludzkim. To też pragnie się czasem zbawiennej ciszy przestworzy, bliskich niebu. Spokój, słońce, przeczyste powietrze i cudowny widok na ląd i błękitne morze z białymi żaglami na horyzoncie i dymkiem okrętów, ginących w oddali. Cudowny zakątek. Warto dla tych wrażeń stracić kilkaset dolarów lub kilkadziesiąt funtów szterlingów i spędzić kilka dni w podróży. Ale nie wolno pożegnać w Polsce popiołów swych ojców, spieniężyć wszystko co się miało, aby na wymarzonej ziemi afrykańskiej osiąść na popiołach zmarnowanego mienia.

Mamy właśnie świeżo przed oczyma przygody obywatela, któremu dokuczyła słota polska i zachciało się wrażeń słonecznych. Zanim sam zjechał w te strony, przysłał rządcę, aby mu kupił przyzwoity majątek, zaopatrzył go w inwentarz żywy i martwy, a ponieważ słyszał, że świetnie się tu hodują barany, więc i trzodę obstalował imponującą. Polski złoty zdumiewająco przyjął się na żyznej afrykańskiej glebie. Wyrósł pałac w prawdziwie arabskim stylu, sprowadzono kosztowne meble, wyrosły zabudowania gospodarskie, zjawiły się rasowe rumaki i krowy, muły i osły. Było wszystko oprócz wielbłądów z Sahary i... wody. Przyjechał dziedzic i wtenczas dopiero spostrzeżono, że wody nie starczy ani dla ogrodowizny, ani dla bydła.

Dalej więc w poszukiwaniu geologa, specjalisty od wyszukiwania źródeł. Lecz ten wręcz oświadczył, że zna to miejsce i wie, że wszelkie poszukiwania są tu bezcelowe. Mały folwarczek, który tu niegdyś stał, zmarniał z powodu braku wody. Sprzedawano go za 50,000 i nikt już nabyć go nie chciał, aż znalazł się dobroczyńca z Polski, który zapłacił pół miljona. Obecnie sprawa jest w sądzie. Dziedzic wyjechał, a pośrednicy nabyli drogie samochody i odbywają podróże w poszukiwaniu nowych majątków i łatwowiernych nabywców.

Algier, w styczniu 1928.

J. de Saint-Laurent.

§ 5 p. II. lit. e

Obrazek z najbliższej przyszłości

„Czynności biura... obejmują: ... zbieranie konkretnych informacyj drogą poufnych wywiadów odnośnie osób, osiągających znaczniejsze dochody oraz uskuteczniających duże obroty, a ukrywających się przed wymiarem podatków."

* * *

P. Leon Deszczowski, współwłaściciel fabryki szkieletów parasolowych, powrócił po kilkugodzinnej nieobecności dziwnie jakiś podniecony i prawie wesoły. Żona jego, pani Wanda, od pierwszej chwili spostrzegła, że zajść musiało coś niezwykłego, bo od dwuch lat już nie widziała męża w tak dobrem usposobieniu. Odkąd interesy tak się popsuły, że p. Leon obciął budżet domowy, przyjął sublokatora, zwolnił prokurenta i zamiast jechać nad morze lub w góry wynajmował na lato chałupę w Psikrwinku, a ją zamiast do Marienbadu wysyłał do Krynicy, widywała stale chmurę na jego czole. Był małomówny, zamyślony, zatroskany i jako na jedyny zbytek pozwalał sobie tylko na — kinematograf.

Nic więc dziwnego, że nagła i tak widoma zmiana usposobienia nie uszła jej uwagi. Odrazu też zapytała:

— Wyglądasz tak, jakby ci się coś dobrego przytrafiło.

A on zatarł ręce i odrzekł z uśmiechem:

— Przytrafić, to się jeszcze nie przytrafiło. Ale może się przytrafić. Tak mi się zdaje, że tę dzisiejszą podróż podjąłem w szczęśliwej godzinie. Trzeba być fatalistą. A właśnie w zeszłym tygodniu zdarzyło mi się coś dziwnego. Kiedy wykupywałem w banku protesty klientów, spostrzegłem obok siebie pewnego pana, na którego nie byłbym zwrócił uwagi, gdyby nie to, że po godzinie, na komorze celnej, przy opłacaniu cła za przybyłe narzędzia, znowu stał tuż za mną. Już wtedy pomyślałem sobie: co za przypadek. Ale nie dość na tem. Idę na pocztę dla wykupienia zaliczenia na posyłkę z drutem i patrzę — a ten znowu stoi za mną. Wtedy już mimowali uśmiechnęliśmy się do siebie.

— Nic mi o tem nie mówiłeś...

— Bo nie wiedziałem jeszcze, że jest o czem mówić. I nie opowiadałbym ci tego i teraz, gdyby nie to, że dzisiaj w wagonie spotkaliśmy się znowu. Rzecz jasna, że odrazu zagadaliśmy do siebie. Niezmiernie miły człowiek, bardzo inteligentny. Jest tu od niedawna. Reprezentuje pewne amerykańskie konsorcjum finansowe, które szuka lokaty w Polsce, przeważnie w przemyśle, mającym widoki rozwoju. Niezmiernie się zainteresował naszą fabryką. Chciałby ją zwiedzić. Wypytywał o urządzenia, warunki, rentowność, widoki. Oczywiście kolorowałem, bo odrazu zmiarkowałem, że może coś z tego być i że nie trzeba zbyt czarno malować rzeczywistości. I wyobraź sobie, przyjął zaproszenie na obiad na jutro.

— Zaprosiłeś go do domu?

— Naturalnie, przecież mieszkając tu, nie mogłem prosić go do restauracji, a pozatem mieszkanie ładne nam jeszcze pozostało, więc to robi zawsze dobre wrażenie.

— Hm, — zamyśliła się pani Wanda — to będzie duży wydatek....

— Trudno, oszczędność na niewłaściwem miejscu jest gorsza od rozrzutności. Trzeba dać porządny obiad.

— Jeżeli tak myślisz...

— Nietylko myślę, ale jestem pewny, że tak być powinno. Taki kredycik na dogodnych warunkach i na dłuższy czas może mnie odrazu znowu postawić na nogi.

— Czy już wspomniałeś coś o tem?

— Ani słówka — ani słówka. Niech to ma na początek pozory zupełnej bezinteresowności z mojej strony, niech propozycja wyjdzie od niego — to mi da możność potargowania się.

Po krótkiej chwili milczenia pani Wanda spytała:

— Powiedz mi, co taki człowiek mógł robić w komorze celnej, lub na poczcie?

— Rozumiesz, że o to go nie pytałem. Ale co to mnie obchodzi? Ostatecznie na poczcie każdy może mieć coś do załatwienia. A w komorze celnej? bo ja wiem? ostatecznie przecie i on mógł dostać jakąś posyłkę...

— A jak się nazywa?

— Mam jego bilet. Dziwne nazwisko: Mikołaj Łapota. Myślę, że to przekręcona łopata, bo pochodzi z rodziny emigranckiej i stąd jego stosunki z Ameryką.

Po tej rozmowie małżonkowie przeszli do omawiania szczegółów jutrzejszego przyjęcia. Oprócz przygotowań natury kulinarnej konieczne były i inne, głównie zaś doprowadzenie do porządku zamkniętego i nieczynnego przez drugi już z rzędu sezon salonu. Trzeba więc pozdejmować pokrowce z mebli, dywany porozwijać, portjery pozawieszać, posadzkę zaciągnąć, żarówki do lamp powkręcać — a przedewszystkiem natychmiast napalić w piecu, by doprowadzić temperaturę do możliwego poziomu. Pani Wanda aż zadrżała na myśl o tej robocie i o jej kosztach. Ale trudno, skoro oszczędność nie na właściwem miejscu i t. d... Kłopot był z sublokatorem, który właśnie w porze obiadowej wraca do domu, więc łatwo może się napatoczyć gościowi w przedpokoju. Ustalono, że w razie czego, zrobi się z niego kuzyna p. Wandy, przebywającego w ich domu tylko czasowo dla kuracji, ot, jako gość. A przy stole nie jada, bo to dziwak.

Pan Leon podjął się przysłania dwuch ludzi z fabryki dla sprzątania, zamówienia tapicera już na 8 zrana, załatwienia żarówek i zakupienia zakąsek i napojów — reszta należy do p. Wandy.

P. Łapota zjawił się punktualnie.

Uprzejmie przyjęty przez oboje gospodarzy domu, odrazu nawiązał z nimi żywą i swobodną rozmowę, ujmując ich widomem, szczerem zainteresowaniem, okazywanem ich życiu i osobom. Uważnie rozglądał się po salonie, dowiadywał się nazwiska autorów wiszących na ścianie obrazów, z dużem znawstwem wpatrywał się w zapełnioną cackami witrynkę, podziwiał dywan i dobry smak mebli, podniósł nawet pokrywę klawiatury fortepianu i brzdęknął dwa akordy. Wogóle właśnie mieszkanie zdawało się go szczególniej interesować.

— Tyle się słyszy i czyta dzisiaj — mówił — o głodzie mieszkaniowym i trudnościach w znalezieniu porządnego mieszkania, że z podziwem i przyjemnością oglądam domostwo państwa, tak miłe i, jak się zdaje, obszerne.

— Bo też — odpowiedział pan Leon — dzisiaj takie mieszkanie byłoby nie do zdobycia. Ale my zajmujemy je już od piętnastu lat, więc jesteśmy beati possedentes. Przez trzy lata mieliśmy kwaterunek, którego pozbyliśmy się dopiero w 1924 roku. Ale musieliśmy lokatorowi kupić inne mieszkanie za grube pieniądze. Byłbym chętnie i więcej zapłacił, bo mieliśmy wyjątkowo dokuczliwego i przykrego współmieszkańca. A odrestaurowanie straszliwie zaniedbanego pokoju co kosztowało!

— Ile też państwo zajmują pokoi?

— Sześć.

— No, to przecie brak jednego pokoju nie był znowu tak bardzo dotkliwy — rzecze Łapota z miłym uśmiechem.

— Nie powiem. Musieliśmy córeczkę wziąć do naszej sypialni — a to zawsze niebardzo wygodne dla nas, ani dobre dla dziecka.

— O, to państwo mają dzieci?

— A jakże — odezwała się pani Wanda — czternastoletniego chłopca i dziewięcioletnią dziewczynkę.

— Co za miły wiek. — I każde ma swój pokój?

— Oczywiście, trudno przecie chować chłopca z dziewczynką w jednym pokoju. Chodzą oboje do szkoły, muszą też mieć gdzie się uczyć.

— Zapewne. Nie wiedziałem o tem i dlatego wspomniałem o wystarczalności 5 pokoi na czas przejściowy. Myślałem sobie: salon, buduar, gabinet, stołowy, sypialny, to przecie ujdzie.

— Nie, z buduaru żona musiała zrezygnować po przyjściu na świat córeczki. Mój gabinet jest zresztą teraz — dodał ze znaczącym spojrzeniem w stronę pani Wandy — także unieruchomiony, bo bawi u nas kuzyn żony, przebywający tu na kuracji. Więc i teraz mieszkamy chwilowo w 5 pokojach.

— A w dodatku brak siódmego pokoju uniemożliwia zaangażowanie guwernantki dla dziewuszki. Na wspólny pokój z dzieckiem dzisiaj żadna zgodzić się nie chce.

— Ale też mieszka się ciągle jeszcze za grosze?

— O, panie, te czasy minęły. Wprawdzie w relacji złotej płaci się ciągle jeszcze mniej, niż przed wojną, ale zawsze to już dzisiaj wydatek solidny. Zresztą ja nigdy z prawa o ochronie lokatorów nie korzystałem i stale płaciłem gospodarzowi według dobrowolnego porozumienia w pewnym stosunku do czynszu przedwojennego.

— No? — zdziwił się pan Łapota — a to dlaczego?

— Bo uważałem to za obowiązek uczciwości i nie chciałem tuczyć się cudzą krzywdą.

— Zapewne, zapewne... rozumiem...

Ale tymczasem podano do stołu i towarzystwo przeszło do jadalni.

Tu znów rozmowa przeszła na inne tematy. Uprzejmy gość, chcąc okazać szczególną atencję swym gospodarzom z dużem uznaniem wyrażał się o zastawie stołu, interesując się i porcelaną, i szkłem, i srebrem. Wychwalał wino, wyrażając domysł, że pochodzi z własnej, dobrze zaopatrzonej piwniczki, nad czem pan domu ze skromnym uśmiechem przeszedł do porządku. Interesował się zamiarami państwa Deszczowskich na lato.

— Nic jeszcze nie wiemy — odrzekła pani Wanda ze źle tłumionem westchnieniem. — W zeszłym roku dzieci były w Psikrwinku na letnisku, ja odbyłam kurację w Krynicy, a mąż dojeżdżał na wieś tylko na soboty i niedziele.

Pan Leon zaśmiał się serdecznie.

— Kobiecie nigdy nie dogodzisz — mówił żartobliwie. — Darować mi nie może pewnych niewygód w Krynicy, a zwłaszcza tego letniska. A skoro już nie mogłem wyruszyć się na dłuższy czas, bo byłem zapracowany, nie było innego wyjścia. Gdyby żona była wyjechała z dziećmi zagranicę, byłbym przez całe lato samotny — a tak, to sobie przynajmniej w soboty i niedziele wypoczywałem, a czasem nawet 3 dni mi się udało wykroić.

— Ale takie dojazdy bardzo są męczące.

— Gdzietam. Samochodem w niespełna 2 godziny jest się na miejscu.

— To pan ma samochód? Jakiej marki?

— Tak, to jest, narazie go nie używam, bo lekarze zalecili mi dużo ruchu, a i żona forsownie chodzi, by nie utyć — dodał figlarnie, pomijając pytanie o markę samochodu. — Stoi więc sobie teraz bezczynnie w garażu.

— W tym roku zatem państwo już pewno wyjadą zagranicę?

— Niech pan nie porusza bolesnych tematów. O tem tymczasem jeszcze się nie mówi.

A pani Wanda:

— Radaby dusza do raju! Ale to z tymi paszportami. Chłopca nawet w tym roku już nie będę mogła zapisać na mój paszport, choć taki jeszcze mały, więc trzebaby mieć dwa — a to zaraz 1000 złotych. Tylko mąż mógłby dostać ulgowy, jako przemysłowiec...

Ciche westchnienie pokrył żywy śmiech pana Leona, który nie znosił dzisiaj żadnych narzekań.

O czem tam jeszcze mowy nie było! I o szkole, i o drożyźnie wpisów, i o cenie lekcyj prywatnych, i o muzykalności pana domu, a zręczności pani w robótkach, któremi pięknie ubrany był stół...

I kiedy po kawie i likierach gość się pożegnał, oboje państwo Deszczowscy byli zgodni co do tego, że jest to człowiek miły i światowy, tylko, według pani Wandy, nieco jakby ciekawy. Tu jednak pan Leon się uśmiał, boć przecie on rozumiał dobrze, że Łapota nie bez celu i intencji indagację swoją prowadził i że powinien był z tej wizyty wynieść wrażenie jaknajdodatniejsze dla przyszłej tranzakcji, o której chciał go zagadnąć później na terenie neutralnym przy okazji rewizyty.

Prawda, że Łapota zastrzegał się, że zamieszkiwać musiał u przyjaciela i że mniejsza przecie o formalności, jednakże pan Leon postanowił koniecznie dowiedzieć się jego adresu, liczył bowiem z całą pewnością na zwiedzenie fabryki przez Łapotę już w dniach najbliższych.

Łapota jednak ani nawet myślał o tem. A szkoda, bo po tem zaprezentowaniu się Deszczowskiemu byłby mógł zajrzeć do każdego kąta.

Zadowolony z pomyślnego wywiązania się z powierzonej sobie czynności, natychmiast zasiadł do opracowania swego raportu, który po licznych kreśleniach, wstawkach poprawkach i korektywach przybrał ostatecznie formę i treść następującą:

„Mając sobie polecone zbadanie dochodów osobistych Deszczowskiego Leona, właściciela fabryki pod firmą L. Deszczowski i S-ka, obserwowałem powołanego Deszczowskiego w przeciągu dni dziesięciu, jak również nawiązałem znajomość z jego otoczeniem oraz zdołałem zaglądnąć do jego pożycia domowego, zakładając, że właśnie wśród swoich czterech ścian badany zdejmuje z oblicza swego maskę, którą osłania je wobec czujnego oka Władzy Skarbowej. Okazało się też, że tak jest naprawdę, wobec czego uporczywe twierdzenie opornego płatnika, że interesy jego idą źle i dochody są ograniczone, wydaje się polegać na złośliwej symulacji.

Deszczowski, jak stwierdziłem, wykupuje protesty zdyskontowanych przez siebie weksli gotowizną, co wyraźnie świadczy o jego zasobności. Tak samo gotowizną płaci za sprowadzany dla fabryki surowiec. Osobiście byłem obecny przy wykupywaniu przez niego w Urzędzie Pocztowym przesyłki, zawierającej drut, używany dla wyrobu szkieletów parasolowych, z czego wyciągam wniosek, że Deszczowski z kredytu nie korzysta. Narzędzia sprowadza z zagranicy i cło opłaca gotowizną.

Wszelkie te czynności Deszczowski spełniał w okresie obserwacyjnym osobiście, gdyż, jak się dowiedziałem, zredukował znacznie swój personel, a także prokurenta, prawdopodobnie, by nie mieć świadków swych machinacyj podatkowych, a także by pozbawiając zajęcia biednych ludzi, powiększać tą drogą własne swe dochody. Zwolniony prokurent nazywa się Juljusz Masecki i jest obecnie na posadzie w banku w Lublinie. Przypuszczalnie mógłby złożyć bardzo interesujące zeznania.

Deszczowski w swoich kursach po mieście posługuje się przeważnie dorożkami samochodowemi, rzadziej tramwajem. Stoi to w uderzającej sprzeczności z tem, co sam mówił mi później, że lekarz zalecił mu dużo ruchu i że dlatego nie używa własnego samochodu, który posiada, lecz który stoi bezczynnie. Zatem Deszczowski złośliwie ukrywa prawdę, bo ruchu używa bardzo mało i nie korzysta z samochodu swojego najwidoczniej tylko dlatego, by móc udawać wobec Władzy Skarbowej, że nie ma większych dochodów od zeznanych do opodatkowania.

W okresie obserwacyjnym Deszczowski był raz w kawiarni, gdzie pił białą kawę i zjadł 3 pączki, a także zapłacił za herbatę i 2 ciastka, skonsumowane przez swojego towarzysza. Również był dwukrotnie z żoną i tym samym towarzyszem w kinematografie i znowu płacił za wszystkie bilety (I miejsce).

Ta łatwość w wydatkowaniu pieniędzy jest zgodna z trybem życia domowego Deszczowskiego. Zajmuje on w domu przy ulicy Wspaniałej Nr. 20 na I-szym piętrze mieszkanie o 6 pokojach, umeblowanych bardzo bogato. Już w przedsionku uderza oczy dywanik perski, leżący nie na gołej podłodze, lecz na czerwonem suknie, którem jest wybita. Na dwuch dużych dębowych ściankach z prętami mosiężnemi jest miejsce do zawieszenia wielkiej ilości odzieży wierzchniej, co świadczy o prawdopodobnych dużych przyjęciach. Salon urządzony zbytkownie. Gruby dywan smyrneński, meble stylowe, pokryte materją jedwabną, fortepian firmy Blüthner. Na ścianach obrazy Fałata, Kossaka, Skoczylasa, Zaka, Ziomka, portret pani Deszczowskiej z dziećmi, dwa obrazy zagranicznych malarzy, żyrandol stylowy z jasnego bronzu, lampa stojąca z dużym abażurem, malowanym na jedwabiu. Stołowy zastawiony meblami dębowemi. Na bufecie dużo przedmiotów srebrnych. Porcelana stołowa saska, szkło karlsbadzkie, srebro ozdobne z monogramami (masywne). Kosztowne hafty i koronki, prezentowane są jako robota pani D. Jadają obficie, zakąski, zupa, ryba, pieczyste, legumina, sery, kawa z likierami, wina z własnej piwnicy, dobrze zaopatrzonej. Mają dwoje dzieci, które posyłają do drogich szkół prywatnych. Prócz tego dzieci uczą się w domu języków i muzyki, a córeczka uczęszcza także na gimnastykę rytmiczną. Każde z dzieci ma własny pokój. Chcieliby zaangażować guwernantkę, ale twierdzą, że przy 6 pokojach nie mają dla niej miejsca. Goszczą u siebie kuzyna. Dozorca twierdzi jednak, że pobierają od niego opłatę za mieszkanie i że to wcale nie wizyta przejściowa, bo już od dwuch lat tam mieszka. Zatem spekulują na własnem mieszkaniu dla powiększenia dochodów. Bardzo ciekawe światło na zasobność Deszczowskiego rzuca okoliczność, że kupił mieszkanie dla swego kwaterunku za zaczną sumę i że opłacał przez cały czas wojny komorne nie w myśl przepisów ustawy o ochronie lokatorów, lecz dobrowolnie płacił więcej, co dowodzi, że o ile nie chodzi o Skarb Państwa, potrafi być hojny i lekkomyślny (por. kawiarnia i kinematograf). W lecie rozjeżdżają po letniskach i miejscowościach kuracyjnych. Ostatniego lata p. D. była w Krynicy w pensjonacie „Helusia", jak wiadomo, jednym z najdroższych, a resztę lata spędziła z dziećmi na wiljegjaturze w osobnej willi. Oboje dzieci posiadają rowery. Lubią wyjeżdżać zagranicę, ale przy niepokonanym wstręcie przeciwko opłatom na rzecz Skarbu Państwa wzbraniają się płacić za paszporty. (Trzeba czuwać nad tem, by nie usiłowali wpisać syna na paszport matki, bo już skończył lat 14). D. jest skłonny użyć paszportu ulgowego na podróż rozrywkową, by i tym sposobem Skarb Państwa oszukać.

Jak wynika z powyższego Deszczowski Leon jest człowiekiem bardziej niż zamożnym, chciwym i skąpym, gdy chodzi o zatrudnionych pracowników, a rozrzutnym dla własnej przyjemności i rozrywki, rozmiłowanym w zbytku i otaczającym nim siebie i dzieci, podstępnym (samochód i kuzyn), a wobec Skarbu Państwa usposobionym wyraźnie wrógo (paszporty). Łatwość, z jaką wykupuje protesty i opłaca gotówką surowiec dla fabryki, świadczy, że interesy fabryki iść muszą dobrze.

Zeznanie podatkowe, na mocy którego dochód jego wynosi zaledwie 36.000 złotych, uważam za sfałszowane i nie odpowiadające trybowi życia.

Wniosek: dochód potroić."

Zamiast wizyty pana Mikołaja Łapoty w fabryce, pan Leon otrzymał nakaz płatniczy, widok którego aż go zamroczył.

Nie domyślił się jednak, że zawdzięczał go śniadanku, którem uraczył swego sympatycznego znajomego z wagonu. Przeciwnie: długo jeszcze czekał na niego i na pożyczkę amerykańską, której się po nim spodziewał.

Cecil.

KURS UZUPEŁNIAJĄCY DLA LEKARZY p. t. „JAGLICA I WALKA SPOŁECZNA Z JAGLICĄ".

Z inicjatywy Departamentu V Zdrowia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Państwowa Szkoła Higjeny organizuje dziesięciodniowy kurs uzupełniający dla lekarzy, obejmujący zarys lekarsko-społeczny współczesnej wiedzy o jaglicy i jej zwalczaniu, a przeznaczony dla lekarzy państwowej i samorządowej służby zdrowia, dla lekarzy pracujących w szkołach, w ambulatorjach ocznych, w szpitalach i zakładach jaglicznych oraz w przychodniach przeciwjaglicznych.

Na program kursu złożą się wykłady teoretyczne z zakresu etiologji, djagnostyki różniczkowej, epidemjologji i zwalczania jaglicy oraz demonstracje i ćwiczenia praktyczne w technice badania, rozpoznawaniu, leczeniu ambulatoryjnem i szpitalnem jaglicy i nieżytów spojówek.

Kurs trwać będzie od dnia 22-go marca b. r. do dnia 31 marca włącznie.

Demonstracje i ćwiczenia praktyczne odbywać się będą w Klinice Okulistycznej U. W., w Instytucie Oftalmicznym oraz w przychodni przeciwjaglicznej Ośrodka Zdrowia w Mokotowie. Opłata wynosi: za wykłady teoretyczne złp. 10, za ćwiczenia praktyczne złp. 15.—.

Departament V Zdrowia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pragnąc ułatwić pewnej liczbie lekarzy przyjęcie na kurs wyznaczył dla 10-ciu lekarzy zasiłki (zwrot kosztów podróży, zwolnienie od taksy i djety VIII st. sł. funkcjonarjuszy państwowych). Podania o zasiłek składać należy pisemnie pocztą lub osobiście w Państwowej Szkole Higjeny do dnia 15 marca b. r.

Przy podaniach dołączyć należy:

1) krótkie curriculum vitae z podaniem dotychczasowej działalności,

2) zaświadczenie instytucji, delegującej kandydata.

O przyznaniu stypendjum kandydaci zostaną powiadomieni przed 21 marca b. r.

Wszelkich wyjaśnień udziela i przyjmuje zapisy na kurs Sekretarjat Państwowej Szkoły Higjeny (Chocimska 24), tel. 104-81 codziennie od godziny 9—3 po poł.

Z dziejów samouctwa

Uniwersytety korespondencyjne w Ameryce i Anglji

Odmienny charakter od omawianych w Nr. 5-ym „Prawdy" uniwersytetów powszechnych posiada t. zw. „Letni Uniwersytet Powszechny" nad jeziorem Chantanque w stanie New-York i założone przy nim kółko literacko-naukowe (Literary and Sientific Circle). Do zadań tej instytucji należy kierowanie samouctwem członków zamiejscowych. W tym celu organizowane są kółka czytania systematycznego podług programów, wypracowanych w Chantanque. Samoucy komunikują się z uniwersytetem listownie, zwracając się z pytaniami w kwestjach naukowych, przesyłając wypracowania do oceny, wreszcie, składając piśmienne egzaminy. Opłata roczna jest minimalna (niecałe 5 złotych), a programy są tak ułożone, aby samouk, poświęcający dziennie 40 minut czasu, mógł przeczytać w ciągu roku cały komplet książek poleconych. Liczba członków samouków obliczana jest na dziesiątki tysięcy osób, rozproszonych, jak wykazują sprawozdania, po różnych częściach świata. Chantanque ma licznych członków swoich w armji, a nawet w więzieniach. Oto głosy czytelników-korespondentów:

„Przeczytałem waszych 6 książek, siedząc na skale olbrzymiej nad zlewem rzek Rio-Negro i Rio-Bianco, wśród Andów. Na wiele mil dookoła nie miałem innego sąsiedztwa nad chatę ubogiego indjanina. Jakąż łaską nieba jest Chantanque dla osób, które zostały zagnane do takiego dzikiego ustronia!"

„Kiedym zaczął nieco zarabiać" — powiada pewien młodzieniec — „postanowiłem pieniądze, które szły na tytoń, odkładać na kupno książek. Ktoś powiedział mi, że istnieje Chantanque. Zapisałem się na członka i wielokrotnie dziękuję, że życiu memu przysporzone zostało nowe źródło rozkoszy".

Raz do roku dwa letnie miesiące przeznaczone są na zjazdy członków i gości nad jeziorem Chantanque. Odbywają się tu wykłady, organizują rozmaite rozrywki, koncerty, wycieczki, tworzą kluby naukowe i sportowe, osobno dla dorosłych i osobno dla młodzieży. Z wielką uroczystością odbywają się egzaminy. Niepodobna w szkicu pobieżnym przedstawić całej rozmaitości pomysłów, na jakie się tu zdobywa inicjatywa prywatna. Chantanque wydaje przytem własny organ, miesięcznik, poświęcony sprawom samouctwa, a podczas zjazdów wychodzi pismo codzienne. Dla użytku gości założono muzea naukowe, bibljoteki bezpłatne, a dla nauki poglądowej pisma świętego urządzono t. zw. park palestyński — miniatura dokładna topografji okolicy rzeki Jordanu i Morza Martwego.

W sierpniu i wrześniu urocza miejsc... ć nad jeziorem ma wygląd obozu. Domy przeludnione, część gości mieścić się musi w namiotach, gdyż na zjazd przybywa kilkadziesiąt tysięcy osób. Uroczystość rozdawania dyplomów odbywa się z wielką okazałością; pochód kandydatów różnego stanu i wieku przy odgłosach muzyki dąży po drodze usypanej kwiatami, do t. zw. „świątyni filozofji", zbudowanej w kształcie ateńskiego Pantenonu. Bardzo często widziano w tym pochodzie po świadectwa rodziców z dziećmi, a razu pewnego kroczył ku „świątyni filozofji" 70-letni starzec.

W zjazdach tych biorą udział uczeni amerykańscy, którzy przybywają tu na letni wypoczynek i jednocześnie trochę czasu poświęcają na wykłady — zjeżdża tu przez ciekawość inteligencja, a w sferach bogaczy uważa się za dobry ton spędzenie lata w Chantanque. Obecnie istnieje już w Ameryce kilkadziesiąt filij towarzystwa Chantanquańskiego, zorganizowanych na wzór swej macierzy.

Uniwersytet powszechny w Chantanque rozwinął się ze zjazdu nauczycieli religji szkół niedzielnych. Do wykładów teologicznych dodawano stopniowo inne i w ten sposób powstał dzisiejszy uniwersytet. Głównym inicjatorem i kierownikiem placówki był dr. Vincent, duchowny, który przez samouctwo zdobył wiedzę i oceniał potrzebę pomocy dla samouków.

Instytucje, szerzące samouctwo przy pomocy korespondencji rozwinęły się nietylko w Ameryce. Uniwersytet w Oxfordzie wydaje odpowiednie programy ze wskazówkami bibljograficznemi oraz pytaniami dla samouków. Członkowie opłacają 10 szylingów i otrzymują za to program i sześć kuponów na prawo korespondowania z uniwersytetem. Korespondencja trwa trzy miesiące, przyczem miesięcznie składa się dwie prace piśmienne, najwyżej sześciostronicowe, z przyklejonymi kuponami na dowód opłaty za naukę. Książki polecone, członkowie lub kółka członkowskie wypożyczają z biura centralnego, opłacając jeden szyling od tomu za trzy miesiące.

W Anglji istnieje prócz tego towarzystwo pod nazwą „Nationale Home Reading Union" posiadające własny organ. „N. H. R. U." i liczące wiele tysięcy członków. Towarzystwo opracowało trzy programy dla trzech kategoryj czytelników. Do pierwszej zalicza się młodzież obojga płci, kończącą szkoły początkowe. Program dla tej kategorji (Young people Course) ma na celu: 1) rozwijanie zdolności obserwacyjnych, 2) udzielanie pewnej sumy wiadomości naukowych, mających zastosowanie w życiu praktycznem (np. higjena), 3) zaznajomienie z biografjami „bohaterów" i „bohaterek", aby poglądowo przedstawić młodzieży ideał człowieka i wytłumaczyć, że we wszystkich sferach życia ludzkiego mamy możność wykazania prawdziwego heroizmu, męstwa, zaparcia się siebie, miłości dla prawdy i do ludzi, 4) w tym punkcie programu proponowane jest czytanie t. zw. przygód dla wykazania, że szlachetne cele godne są wielkich wysiłków, 5) czytanie utworów literatury pięknej, 6) dzieła przyrodnicze, 7) książki traktujące o historji kraju.

Do drugiej kategorji czytelników zaliczeni są robotnicy, którzy pragną uzupełnić swe wykształcenie. Program dla nich (t. zw. general courses) składa się z 7-miu części: 1) ekonomja, 2) nauki polityczne, 3) historja powszechna i konstytucyjna (o obowiązkach politycznych), 4) elementarne wiadomości naukowe w zastosowaniu do potrzeb życia praktycznego; 5) wyjątki z historji literatury powszechnej (przygotowanie do czytania wybitniejszych autorów angielskich, dla wykazania związku dziejów literatury z historją kultury narodu), 6) biografje, 7) utwory literatury pięknej.

Dla trzeciej, wyższej, kategorii. t. j. dla ludzi, posiadających już pewne wykształcenie, opracowano t. zw. „special courses", czyli program dopełniający i rozszerzający wykształcenie rozpoczęte. Programy te składają się z szeregu kursów z dziedziny literatury, nauk przyrodniczych, historji, nauk społecznych, filozofji, historji sztuki. Bliższe szczegóły, dotyczące planu studjów, opracowywane są w miesięczniku „N. H. R. U. Magazine", którego każdy numer składa się z trzech zeszytów, odpowiednio do trzech wspomnianych kategorji czytelników. Kółka czytania systematycznego, powstające na prowincji, kierowane są zwykle przez miejscowych członków towarzystwa N. H. R. U. ludzi z wyższem wykształceniem, jak np. lekarzy, inżynierów i t. d.

Na wzmiankę zasługuje również instytucja, założona w Oxfordzie pod nazwą „Ruskin Hall", mająca na celu szerzenie wśród warstw pracujących umiejętności społecznych. Założył ją amerykanin Walter Vrooman przy współudziale Trade-Unionów. Instytucja posiada stałych słuchaczów, płacących około 15 franków miesięcznie za prawo słuchania wykładów i utrzymanie, oraz członków korespondujących, t. j. takich, którzy nie mogąc porzucić zajęcia zawodowego, poświęcają jednak część czasu wolnego na naukę. Kieruje nią listownie Ruskin Hall i ułatwia, wysyłając plany, wypożyczając książki, poprawiając wypracowania, dając wskazówki, informacje i t. d. Opłata wynosi 2½ franka w pierwszym miesiącu, a w następnych 1 fr. 25 cnt. Zresztą za niewielką opłatą każdy ma prawo korzystania z wykładów. Tryb wewnętrznego życia w Ruskin Hall skierowany jest ku wyrobieniu wspólności i solidarności. Prace gospodarcze, związane z życiem wspólnem studenci wykonują sami.

L. Ro-n.

(Warszawa)

PREMJE KSIĄŻKOWE

Każdy z naszych czytelników, który zjedna dla „Prawdy“ nowego prenumeratora otrzyma tytułem premji jedną z wymienionych poniżej książek podług swego wyboru.

Premje książkowe wysyłane będą w ciągu marca a w każdym wypadku po nadejściu należytości prenumeraty za II. i III. kwartał od nowego prenumeratora **w kwocie 8 złotych.**

Celem otrzymania premji należy po zjednaniu nowego prenumeratora zawiadomić o tem kartką pocztową Administrację „Prawdy“ w Łodzi, ul. Piotrkowska Nr. 85, podając nazwisko i adres nowego prenumeratora i nadmieniając, czy należytość za prenumeratę została już przekazana.

Nowi prenumeratorowie otrzymują „Prawdę“ od najbliższego numeru po wpłaceniu należytości, czyli jeszcze przed początkiem II. kwartału.

Na premje przeznaczamy następujące nowości powieściowe:

Dziewczyna z szaremi oczyma

powieść **Dzikowskiego**

SIEDEM SIÓSTR

powieść **Karin Michaelis**

CZARNA PANI

powieść **Marczyńskiego**

Sto miljonów w złocie

powieść **Farrera.**

Wszystkie wymienione powieści ukazały się w ostatnim miesiącu i kosztują w handlu księgarskim od **6 do 8 złotych** za egzemplarz.

Czytelnicy „Prawdy“ mają zatem sposobność zdobycia wartościowej nowości powieściowej bezpłatnie, jedynie w zamian za zjednanie „Prawdzie“ nowego prenumeratora z pośród swoich znajomych.

Ze względu na to, że nowi prenumeratorzy otrzymują „Prawdę“ niezwłocznie po wpłaceniu należytości za II. i III. kwartał wskazane jest zgłoszenie nowych prenumerat jeszcze przed upływem I. kwartału.

HANDEL ZAGRANICZNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

(Miesięcznik)

Ukazał się zeszyt 12 Miesięcznika Handlu Zagranicznego, zawierający dane, dotyczące obrotu towarowego Polski w m. grudniu 1927 r.

Klasyfikacja towarów jest tak szczegółowa, że pozwala na rozległe wykorzystanie danych dla celów praktycznych w zakresie importu i eksportu, dlatego też Miesięcznik cieszy się wielkiem uznaniem sfer gospodarczych. Z drugiej znów strony Miesięcznik stanowi podstawowy materjał źródłowy dla wszystkich zajmujących się poważnie aktualną sprawą bilansu handlowego.

OGŁOSZENIE.

Przy wyborach do Sądu Rozjemczego w Łodzi dla spraw Zakładu ubezpieczenia od wypadków dokonanych w dniu 15 stycznia 1928 roku, zostali wybrani PP:

a) z grona przedsiębiorców:

Oberfeld Roman, asesorem; Hoffman Filip, Leder Artur, Sanne Paweł, Stachlewski-Sobolewski Kazimierz, Mintz Alter, Steinmann Emanuel, Racięcki Józef, Hilszer Edward, Zachert Alfred, Chąciński Stefan, zastępcami asesora;

b) z grona ubezpieczonych:

Goliński Stanisław, asesorem; Barański Bronisław, Andrzejak Edward, Ostrowski Franciszek, Wildeman Adolf, Kotarski Karol, Dąbrowski Bolesław, Oli Jeremje, Cybach Stanisław, Kukulski Juljan, Kmiecik Jan, zastępcami asesora.

Delegat Rządu dla spraw
Zakładu ubezpieczenia od wypadków
Tadeusz Sośniak w. r.

— 36 —

Co zrobiłeś dla rozpowszechnienia „PRAWDY“?

Redakcja i Administracja w Łodzi
ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 groszy za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.*

Odbito w Drukarni Państwowej w Łodzi, Piotrkowska 85. 14412